Nr 41 (1551). Warszawa, 8 października 1910 r. **Rok XXX**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 78-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Postęp i żydzi.

Na wiosnę tego roku pojawiły się w *Wiedzy* wileńskiej artykuły p. Grossera, prorokujące, że jeżeli prasa polska wystąpi przeciwko równouprawnieniu „narodowości" żargonowej w instytucjach i urządzeniach życia samorządnego, „stworzenie pierwszych w kraju instytucji reprezentacyjnych stanie się początkiem wewnętrznej walki narodowościowej w Królestwie, która nieubłaganie pociągnie za sobą jaknajsmutniejsze następstwa dla kraju i zamieszkującej go ludności obu narodowości".

Poseł Prawdy w pamiętnym „Liberum Veto" o „Unji polsko-żydowskiej" (*Prawda* Nr. 10 z 5 marca b. r.) napisał wtedy: „Chciałbym być również złym prorokiem, lecz przypuszczam, że ta walka, prowadzona pod sztandarem wywieszonym przez autora, będzie miała smutne następstwa głównie dla żydów". Daleko nam jeszcze do pierwszych w kraju instytucji reprezentacyjnych, a proroctwo „Posła Prawdy" już się częściowo spełnia. Walka już wre — zatacza koła coraz szersze, wciąga w swój wir wszystkich, wytwarza położenia przymusowe, stwarza konieczność wczesnego wyboru pomiędzy walczącymi stronami, wyboru ciężkiego przedewszystkim dla tych żydów-polaków, dla których — jak łatwo pojąć — ma w sobie coś tragicznego myśl, że może stać się koniecznym ostateczne rozcięcie jeżeli nie uczuciowych to w każdym razie polityczno-obywatelskich węzłów, łączących ich z środowiskiem, z którego weszli, a które poczyna wywierać na nich coraz to groźniejszy nacisk w kierunku wyraźnego oświadczenia się za jednym albo za drugim sztandarem.

Wytwarza się nastrój rozdrażnienia, roznamiętnienia, i podejrzliwej nieufności. Terenem walki coraz częściej przestaje być grunt pojęć ogólnych i haseł działania publicznego, coraz częściej stają się nim kwestje osobiste. Traci się z oczu problem, jaką powinna być linja działania, jakie hasła powinny jednoczyć i skupiać, jaka ma być przyjęta taktyka, ku jakim celom dążyć trzeba i jakich przestrzegać w walce granic, — a coraz wyłączniej myśli się tym, jakie myśli ukryte, jakie dążenia utajone, jakie niedopowiedziane zamiary czają się pod słowami, które czytamy, pod działaniem, na które patrzymy. Podejrzenia zamieniają się w obelgi, oskarżenia zamieniają się w insynuacje, dyskusja publiczna zamienia się w gwar jarmarczny, wśród którego sama istota sprawy pokrywa się grubym pokładem cuchnącego polemicznego błota. Gromadzą to błoto wybujałości nieposkromionych temperamentów, a przysypują je i piętrzą ręce, starające się skwapliwie wytworzyć z niego brudny piasek, w którym by się udało strusim zwyczajem chować głowy i uwolnić się od przyjęcia zasadniczej dyskusji na tym terenie, z którego nigdy zejść nie była powinna. Z tego błota i piasku tworzą się nawet fantastyczne twierdze urojeń rozmyślnych, przeciwko którym zwracają się z furją polemiczne baterje: zwycięztwo nad takimi twierdzami jest oczywiście nad wyraz łatwe, bo rozgrywa się w dziedzinie li tylko własnej fantazji — ale i tryumfy z powodu tego rodzaju wiktorji nie tylko nie przynoszą zaszczytu, ale i nie wzmacniają stanowisk, bronionych podobnie fatalną strategją.

Taką twierdzą, zlepioną wyłącznie z polemicznego błota jest legienda o „postępowym antysemityzmie". Kilku postępowych, samodzielnych i tylko odpowiadających za siebie publicystów wysunęło się w przodową linję walki, narzuconej społeczeństwu polskiemu przez teorje i praktyki pp. Grossera, Warskiego et tutti quanti. Atak, z którym wystąpili, miał poniekąd cechę nieregularnej partyzantki, wysuwają-

cej się na sam kraniec, nawet poza kraniec linji strategicznej, zakreślonej jasno, stanowczo i wyraźnie przez uchwały Polskiego Zjednoczenia Postępowego z dnia 5-go kwietnia b. r., a głoszące hasło asymilacji politycznej i kulturalnej, jako warunku faktycznego równouprawnienia ich w życiu prywatnym i społecznym. Uchwały te zgodziły się na to, aby żydów nie uważać za naród odrębny o rozwiniętej świadomości, aby żargonu nie uważać za język narodowy żydowski; aby energicznie zwalczać grupy żydowskie, głoszące zasady: egoizmu narodowego żydowskiego, obojętności, lub przeciwstawienia się interesom narodu polskiego; aby żydów spolszczonych uważać za współbraci, żydów, wyodrębniających się za żywioł obcy, a w pewnych stosunkach i warunkach za wrogi, i aby wreszcie z dostateczną siłą zwalczać dążenia do podziału naszej ziemi i naszej organizacji między równouprawnioną z obu stron spółkę polsko-żydowską. Wiadomo, że uchwały te od pierwszej chwili wywołały w obozie narodowo-żydowskim i wśród kosmopolitycznych publicystów żydowskich skrajnej lewicy silne rozjątrzenie. „Przedstawiciele rozmaitych grup żydowskich w obecności przedstawicieli prasy żydowskiej" wystąpili z pretekstem, w którym obok wymyślań z powodu „oszczerstw" na nacjonalizm żydowski pomieszczono oświadczenie, że „jedynie uznanie obywatelskich i narodowo-kulturalnych praw narodu żydowskiego może wytworzyć z żydów polskich uczciwych dopomagaczów (Mithälfer) w rozkwicie i pokojowym rozwoju Polski". Była więc w tym oświadczeniu groźba, było jakby wezwanie do kapitulacji.

Był to już zarazem początek legiendy o „antysemityzmie postępowym". Legienda rosła, rozjątrzenie przeniosło się na szersze warstwy, gdy rozpoczęto wprowadzenie w czyn czwartego punktu kwietniowych uchwał P. Z. P. w kierunku „wyzwalania żydów z więzów fanatyzmu, przesądów i uprzedzeń antyspołecznych, które przeszkadzają ich uobywateleniu". Dotknięte bezceremonjalnie rozmaite „tabu" obyczajowego i religijnego obskurantyzmu i ustroju społeczeństwa żydowskiego poruszyło namiętności, rozjudziło drażliwości. Potrzeba było tylko iskry, aby rozniecił się płomienie. Iskry padły wreszcie z pod brutalnych ciosów *Młota*, wymierzonych pod różnymi pretekstami zarówno przeciw polskiej propagandzie wolnomyślnej, jak i przeciw asymilacji w obozie postępowym. Preteksty wybrane były zręcznie z poza zakresu kwestji żydowskiej, a same ciosy miały odrazu charakter napaści wyłącznie osobistej. Wśród burzy, jaka rozszalała, walczące strony skrzyżowały ze sobą broń błotnych pocisków, a chór, który towarzyszył temu pojedynkowi, rozpoczął zawodzić we wszystkich tonacjach, że duch Jana Jeleńskiego pokutuje w obozie postępowym. Hałasowi talmudystów towarzyszył radosny śmiech *Dziennika Powszechnego* i urzędowy lament „ubolewacza gieneralnego" ze szpalt *Słowa*, który na tę okazję zdjął z siebie strój tercjarski i przywdział szaty rytualnego płaczka.

Ale zarówno ten hałas, jak i ten śmiech, jak i ten lament idą w próżnię. *Młot* fanatycznego kosmopolityzmu jest zbyt marny i zbyt nędzny, by mógł najwymyślniejszą intrygą naruszyć w czymkolwiek mocny cokół ideowej podstawy, na której opierają się nasze programowe hasła w kwestji żydowskiej. Nasi szczerzy, odważni, patrjotyczni, obywatelscy towarzysze idei pochodzenia żydowskiego wiedzą o tym zbyt dobrze, aby potrzebowali się niepokoić: a jeżeli odwrócą się od nas ci, którzy mają słabą niezdecydowaną wolę i jeżeli zniechęcą się od współdziałania z nami ci, których uczucia polskie nie są dość jasne i wyłączne, i którzy spodziewali się

---

3)

B. LEŚMIAN.

Znaczenie pośrednictwa w metafizyce życia zbiorowego.

(Ciąg dalszy).

Zależność idei od faktu w życiu zbiorowym podobna jest do zależności ducha od materji. Nie może tu być mowy o *pierwszeństwie w czasie*, jeno o współczesności i o współprzestrzenności dogodnych dla obojga warunków. Stosunek idei do faktu nosi cechy *artyzmu*, dzięki dodatkowi X, który do prawa przyczynowości wnosi maximum swobody. Ta swoboda wyłącza zależność bezpośrednią, zależność twórczą, ponieważ prawo przyczynowości nie tworzy, lecz tylko na twórczość zezwala, kontrolując ją i z dziedziny *naturae naturantis* przenosząc do *natura naturata*.

Odpowiednikiem faktycznym idei „dążenia do potęgi" może być w życiu zbiorowym — armia niemiecka... Nie znaczy to wcale, iż armia niemiecka *stworzyła* autora idei powyższej.

Lecz znaczy to, iż dany okres życia politycznego i społecznego *zezwolił* mu na przeniesienie pewnej idei z *natura naturans* do *natura naturata*.

— „Nie dość mieć talent! Trzeba mieć jeszcze *zezwolenie* wasze, przyjaciele moi!" — mówi ten sam poeta-filozof niemiecki.

Słowa te zwrócone są chyba wprost i wręcz do przyczynowości, jako prawu panującemu w dziedzinie *naturae naturatae*.

Każda idea twórcza ma tendencję do uspołecznienia się, do potwierdzenia siebie samej największą ilością wywołanych przez nią, a do niej podobnych funkcji ideowych, wreszcie do wiedzy o sobie. Wiedza jest zawsze — warunkową i porównawczą. Wiedzieć — to znaczy przypomnieć sobie *coś podobnego*, a już dawniej stworzonego, czyli uczynić z nowego konkretu skutek pewnej przyczyny. Wiedza jest funkcją wyłącznie *pamięciową*, ugruntowaną na prawie przyczynowości nie zaś twórczą, której podstawy znajdują się w *natura naturans*. Wiedzieć to znaczy: wspominać podobieństwa.

Zamiast więc mówić, iż każda idea twórcza ma tendencję do uspołecznienia się, do wiedzy o sobie

robić z nami tylko interesy polityczne, nie dając nam całego serca i nieustraszonej odwagi współdziałania — tym gorzej dla nich, ale z pewnością tym lepiej dla nas.

Asymilacja jest naszym niewzruszonym, zasadniczym hasłem.

Powiedział słusznie A. Świętochowski: „Kto mówi, że asymilacja u nas zbankrutowała, ten mówi, że kultura polska jest za słaba, ażeby strawiła żydowską, że ona nie zdoła — jak francuska lub niemiecka — wessać i przetworzyć osad semicki u nas".

Asymilacja może być tylko zupełna, nie znosi zastrzeżeń i myślowych nawet restrykcji. Za „Posłem Prawdy" powtarzamy, że nie na to ziemię naszą prze-poilismy krwią i łzami, narodowość ukochali aż do ekstazy, przez sto lat cierpieliśmy i walczyliśmy, aby zamieniać ojczyznę naszą na polsko-żydowską. Nie tylko odrębności językowych uznać i dopuścić nie możemy, ale także i tego, aby poczucie solidarności z ghettem nieuświadomionej, nieuspołecznionej, niekulturalnej grupy plemienno-wyznaniowej miało w czemkolwiek krępować, osłabiać, paraliżować czy zmieniać linję dążeń ogólno-narodowych, a w szczególności, dążeń, wytkniętych przez postęp polski u żydów, którzy pod polskim sztandarem postępowym są gotowi razem z nami pracować. Solidarność ta mogłaby mieć tylko dwojakie tło: narodowe i religijne. Solidarność narodowo-żydowska wyłącza wogóle ze społeczeństwa polskiego. Solidarność religijną możemy zrozumieć, uznać, wytłumaczyć i uszanować — ale trudno, abyśmy dla niej znaleźli miejsce gościnne w obozie, który w formułkach i obrzędach wyznaniowych widzi tylko przeszkodę do duchowego i kulturalnego rozwoju narodu. Żyd religijny i zrosły ze swoimi współwyznawcami wiarą i obrzędem, może być niewątpliwie wzorowym polakiem; wielu z nich ginęło pod sztandarami polskimi, wielu z nich zajmuje i dziś chlubne miejsca przy warsztacie narodowej pracy. Ale ci z natury rzeczy stoją albo poza stronnictwami, albo łączą się naturalnym pociągiem idei z obozem zachowawczym.

Naszego zaś obozu musimy strzec przed tymi, którzy według słów „Kultury Polskiej" — wnoszą do naszego życia pierwiastki zwyrodnienia i rozkładu, ograniczają swój liberalizm i radykalizm do krytyki i znieważaniu skamieniałości i uwstecznień kultury polskiej, osłaniając starannie barbarzyństwa własne, urągają najświętszym przedmiotom jej czci, ogłaszają jej bankructwo i śmierć, pragnąc na jej gruzach zbudować żydowsko-kosmopolityczną świątynię nowego społeczeństwa i nowego kultu" Dla tych panów nie powinno być chyba miejsc i w polskich stronnictwach proletarjackich: niestety, rozłożyli oni się tam licznym i niebezpiecznym taborem i walka z nimi staje się koniecznością, zwłaszcza, że kują coraz wyraźniejsze zaczepno odporne przymierze z nacjonalizmem żydowskim, zaszczepionym na pniu wręcz obcej nam kultury A wobec konieczności tej walki musimy wymagać od publicystów i polityków, którzy zgłaszają się do pracy pod polskim postępowym sztandarem, aby bez względu na swoje pochodzenie, na węzły, łączące ich z środowiskiem coraz bardziej nam wrogim, w tej walce energiczny i całoduszny wzięli udział — a do jej powodzenia przyczynili się w miarę swych sił i środków przez bezpośrednią asymilacyjną propagandę wśród kół, z jakich wyszli — w polskim, postępowym, wolnomyślnym, demokratycznym duchu...

I jeszcze jedno. Musimy od nich żądać, aby zerwali z przeczuloną drażliwością i podejrzliwością, jaką okazują wobec każdej dyskusji w kwestji żydowskiej. Nawet najbardziej drastyczne i krzywdzące zarzuty przeciwko żydom stępiłyby tym prędzej swoje ostrza, gdyby dyskusja nad nimi nie pociągała za sobą tych wstrętnych zarzutów, jakie w ostatnich tygodniach padły nawet z tych szpalt, na których najmniej można ich było oczekiwać.

---

i t. d., możemy wprost powiedzieć, iż każda idea nowa dąży do utwierdzenia się w pamięci ludzkiej na zasadach prawa przyczynowości, czyli do „uhistorycznienia się" w *natura naturata*.

Życie zbiorowe, jako terytorjum *stałe*, jako budowa historyczna, jako wieczny *ciąg dalszy*, słowem, jako przyczynowość, podniesiona do potęgi absolutnej, jest przedewszystkim gromadną *funkcją pamięciową*, utrwalonym w czasie i w przestrzeni przybytkiem wiedzy ludzkiej, olbrzymim gmachem muzealnym, w którym się przechowują wszelkie wysiłki twórcze po uprzednim włączeniu ich w postaci skutków do ogólnego łańcucha przyczynowości, jako niezbędnej podstawy wszelkiej funkcji pamięciowej.

A chociaż owo muzeum we wszechświecie musi się wzbogacać i uzupełniać coraz to nowymi zdobyczami, wszakże na jego drzwiach spiżowych widnieje napis: „Nie wolno dotykać przedmiotów bezpośrednio!"

Antagonizm bowiem, istniejący pomiędzy *natura naturans*, a *natura naturata* wytwarza w tej ostatniej zbiorowy instynkt samozachowawczy, dzięki któremu bezpośrednie zetknięcie się z życiem twórczym, płomiennym i nieprzerwalnie zmiennym uważane jest za niebezpieczeństwo, zagrażające łańcuchowi przyczyn i skutków nagłym zerwaniem, — niebezpieczeństwo, które w ten lub inny sposób należy usunąć.

Usuwa się ten kontakt bezpośredni za pomocą abstrachowania już utrwalonej w powstrzymanym czasie idei od jej najbardziej widzialnego i dostępnego nam źródła — człowieka, ażeby na niej właśnie utwierdzić i ujarzmić rozpęd istnienia oraz izolować ją od wpływów twórczych wiecznie zmiennej jednostki.

Antropomorfizm, pojęty jako niepodzielność, nieodłączność idei od człowieka, który ją dla siebie tworzy, niby ciąg dalszy swej istoty, rozgałęzionej we wszechświecie, ustępuje miejsca abstrakcjom, dla których on właśnie, nie zaś one dla niego — istnieć odtąd powinien,

Nie instytucja dla człowieka, lecz człowiek dla instytucji. Nie prawo dla jednostki, lecz jednostka dla wypełnienia tego prawa. Nie bogowie dla nas, lecz my dla bogów... Szopenhauer w tomie drugim głównego swego dzieła nazywa materjalizm — filozofją jednostki, która przy obrachunku ze światem zapomina o sobie samej. Z małą odmianą możemy zastosować to zdanie do filozofji życia zbiorowego: ułatwia ona sobie swój obrachunek ze światem, wykreślając z pamięci — jednostkę i znicestwiając ją w zero społeczne. Jest to taktyka zmyślnego wroga, nie zaś pomysł filozofa, który w tej taktyce może tylko dojrzeć dowód wiecznego antagonizmu dwuch pokrewnych napozór, a mimo to tak odrębnych światów, które na-

O „Zaranie”.

Przed paru tygodniami *Słowo* użyczyło gościnnie swych łamów polemice w sprawie *Zarania*. Po wydrukowaniu kilku artykułów i listów otwartych pro i contra, *Słowo* wytoczyło najcięższego kalibru artylerję i w numerze wieczornym z d. 20 b. m. umieściło artykuł wstępny samego redaktora p. Donimirskiego p. t. O *Zaranie* z widoczną chęcią wymierzenia ostatniego ciosu, który jakoby miał dokonać zupełnej zagłady *Zarania* i kierunkn przezeń wyobrażanego.

Artykułowi temu warto poświęcić parę chwil uwagi.

Rzuca w nim p. D. między innymi uwagę, że w dyskusji rzeczowej niewolno posiłkować się czczą gadaniną. Uwaga zjadliwa i w gruncie rzeczy całkiem słuszna, lecz ostrze jej zwraca się — wyłącznie przeciwko p. D. Tak jest. Bo p.D. ani jednego zarzutu p. Malinowskiego nie obalił, ani jednego argumentu nie odparł.

W dalszym ciągu pozostaje faktem, że ogół ziemian mało interesuje się sprawą materjalnego i moralnego podniesienia ludu wiejskiego, a wśród nielicznych jednostek, które jęły się pracy w tym kierunku, znaczna większość nie umie lub nie chce orjentować się w nowych prądach i stosunkach i podawnemu sprawę tak zasadniczą traktuje na sposób filantropijny w rodzaju kwesty wielkanocnej na grobach.

W dalszym ciągu pozostaje faktem, że poziom umysłowy ogółu duchowieństwa wiejskiego, z nielicznymi wyjątkami, jest rozpaczliwie nizki, bynajmniej nie kwalifikujący je na kierowników ludu. Skutki takiego stanu rzeczy są aż nadto widoczne, gdyż nawet te nieliczne wyjątki wśród księży, które z dobrą wolą imają się krzewienia wśród ludu współdzielczości i samopocy społecznej, prowadzą tę sprawę nad wyraz niedołężnie, skutkiem czego potyka się ona co chwila o rozmaite przeszkody, wywołując obustronną gorycz i zniechęcenie.

A przytym przeszkody wynikają nietylko z nieumiętności księży. Są i inne, a po przykłady daleko sięgać nie trzeba. Nie przesądzając wartości pracy społecznej ks. Godlewskiego, zapytuję, z czyich to szeregów, jeżeli nie z klerykalno realistycznych wyszło oskarżenie go przez Kurję Rzymską? Widocznie i ks. Godlewski jest dla nich niedość katolickim!

Otóż to właśnie! Stosunek ogółu duchowieństwa do budzącego się wśród ludu ruchu w kierunku samopomocy, współdzielczości, do dążenia jego do oswiaty i uświadomiania obywatelskiego — jest wręcz wrogi. Sferom zachowawczym nie idzie w smak sama myśl o tem, iż chłop polski może wkrótce stanąć obok „dobrze urodzonych”, jako równorzędny obywatel, który przy rozstrzyganiu spraw związanych z podstawami naszego bytu narodowego przemówi niezależnie i rzuci na szalę cały ciężar swych siedmiu milionów głosów! To jest niedogodne. Dlatego też używa się wszelkich sposobów, aby ruch ludowy w zarodku zdusić, zdławić Dlatego też stosuje się tak dobrze w Polsce znane i wypróbowane oskarżanie go o niereligijność i bezwyznaniowość. Przypadkuje się na wszelkie możliwe i niemożliwe sposoby wyrazu „religja”, „wiara”, podlewając je obficie sosem masonerji, kosmolityzmu i t. d., aż do znudzenia. Sposób to tak prosty, niekosztowny, a tak dobre rezultaty dotychczas dawał.

Czy nie zadużo tego? Polska od lat 300 chora jest chronicznie na moralną niestrawność wskutek przejedzenia katolicyzmem. Czy nie czas zatym zmniejszyć trochę dawkę religji, stosowaną naszemu ludowi?

Bo—bądźmy otwarci—wy wyłącznie dla ludu żądacie już nie utrzymania dawnej dawki religijności, a stopniowego jej zwiększania; sobie oddawna zmniejszyliście dawkę tę do minimum, jeżeli zgoła nie zastąpiliście jej innymi środkami i czujecie się z tym bardzo dobrze. Wszak prawda?

P. Malinowski wyraził się bardzo oględnie, nazywając nagankę na Kruszynek i Sokołówek w naszych czasach i warunkach niewybaczalną. Twierdzę, że jest to godne potępienia, bo jakże inaczej można określić podkopywanie własnymi rękami obywateli kraju bytu tych szkół w czasie, kiedy huragan reakcyi politycznej zmiata jedną po drugiej nasze instytucje kulturalne, których posiadamy tak rozpaczliwie mało, a tak bardzo potrzebujemy? Naganka taka byłaby godną potępienia nawet wówczas, gdyby kierunek nauczania w Kruszynku i Sokołówku rzeczywiście był bezwyznaniowy, a cóż dopiero, skoro p. D. wie równie dobrze, jak wszyscy, że jest to zarzut gołosłowny, wywołany tylko zawiścią, że istnieją w kraju dwie szkoły, nie otrzymujące dyrektywy z kół klerykalno-zachowawczych!

Zresztą, być może, iż jedną ze sprężyn tego zwal-

---

daremnie dążą do zlania się w jeden harmonijny wszechświat. W tym miejscu chciałoby się zawołać, iż wszechświat dotąd jeszcze nie został urzeczywistniony! Tak samo, jak dotąd jeszcze nie było — ludzkości. Urzeczywistnienie bowiem i pierwszego i drugiej wymaga tego cudu, ażeby każda jednostka uczuła się nagle — ludzkością i wszechświatem!

Zapewne nie jedna z tych prawd, które w postaci słów uznanych i uświęconych miewamy na ustach w chwili głębszej zadumy — bywa tylko pomysłem do wykonania...

Idea, przekształcona w tę lub inną instytucję samodzielną, w to lub inne „dobro ogółu” — uważa jednostkę twórczą za paliwo do podtrzymania „świętego ognia” swoich ołtarzy, za mięso dla swoich dział, wymierzonych przeciwko zbyt „bezprzyczynowym” wysiłkom twórczym.

— „Nie wolno dotykać przedmiotów bezpośrednio!”

Zgodnie z tym wyżej wspomnianym napisem dana „opinja ideowa” zaczyna pośredniczyć pomiędzy nami, a naszym życiem, uświęcając tylko tę jego cząstkę, która ją potwierdza, zaś nieobliczaną resztę wyrzucając poza nawias, jako nierealność, występek lub bezużyteczność.

Uznano już i w ogólnym łańcuchu, jako przyczyna lub jako skutek, pobrzękująca idea staje się bezwzględnym pośrednikiem, bez którego tyrańskiej pomocy jednostka nie może wtargnąc do życia bezkarnie.

Owo pośrednictwo idei uznanej a proekcjonowane z kolei na ekran życia zbiorowego, rozradza się w tysiącznych kształtach przetwórczych, w tysiącznych analogjach faktycznych, co raz bardziej uniemożliwiając bezpośrednie wyczucie życia i wszelką „antropomorficzną” swobodę stosunku naszego do świata.

Pominiemy tu najwidzialniej i najpowszechniej grasujący rodzaj pośrednictwa — mianowicie: pośrednictwo handlowe, którego wartość społeczna polega na komplikowaniu i gmatwaniu wiązadeł życia zbiorowego, na wytwarzaniu w stosunkach międzyludzkich — luki lub raczej próżni ułudnie ruchliwej, która powiększa odległość pomiędzy pewną liczbą jednostek, a kotłującym się wokół nich życiem, a którą zapełnia się nie wysiłkiem twórczym, lecz w najlepszym razie — sprytem i przebiegłością.

Pominiemy — powtarzam — to pośrednictwo, któreby nas ściągnęło na zbyt mało nam znane niziny.

Mamy inne, daleko ważniejsze przed oczami!

Przedewszystkim pomiędzy każdym z nas, a jego życiem majaczy przedział nieustanny, zmora wszechmocna, wizja statystyczna, urojenie tym gorsze, iż sza-

czania ruchu ludowego jest jalousie de metier w obec faktu, że inni, nap. marjawici lepiej koło tych spraw chodzić umieją?

A już szczytem argumentacji p. D. jest przytoczenie faktu, że prawnej organizacji jednostanowej u nas niema! O tem nikt nie wiedział, i dopiero p. D. z wysokości swego fotelu redaktorskiego oświecił w tej mierze społeczeństwo polskie! Uważny i nieuprzedzony czytelnik czuje się mocno zakłopotany tym argumentem: co on właściwie ma znaczyć i poco był przytoczony? Czyżby p. D. chciał przez to wyrazić się, iż skoro nie posiadamy prawnie zatwierdzonej gminy jednostanowej, to eo ipso i lud wiejski, jako odrębna klasa społeczna, nie istnieje, że więc między chłopem a „dobrze urodzonym" żadnej niema różnicy? O taki demokratyzm p.D. nie posądzamy. Czy też może p. D. jest zdania, że skoro odrębna gmina jednostanowa prawnie u nas nie istnieje, to w obec jej braku wszelka praca koło podniesienia ludu jest płonną, a więc lepiej jest w dalszym ciągu trwać w błogim kwietyzmie? Więc pojęcia „lud wiejski" jest dla p. D frazesem nie dostatecznie ściśle określonym? Wolne żarty!

I za jednym zamachem p. D. z zachwycającym wdziękiem udziela swego redaktorskiego klapsa „różnym, poczęści nieletnim, a piszącym pod różnymi pseudonimami dziennikarzom, może mniej od p. Malinowskiego do sądzenia stosunków krajowych wylegitymowanym". Ci, zdaniem p. D., mają do megalomanji mniej praw od p. Malinowskiego, których również ich niema. Posiada je zato i używa w całej rozciągłości p. D., a megalomanja ta unosi go tak dalece, iż posuwa się do twierdzenia, jakoby p. Malinowski ani celów dążeń *Zarania*, ani środków, którymi do celów tych dojść zamierza wyraźnie wskazać nie umie!

W obec tego i ja pośpieszam z wylegitymowaniem się: publicystą zawodowym nie jestem, młodość mam już za sobą, i na megalomanję nigdy nie chorowałem, czuje się więc uprawnionym do krytykowania megalomanji wszędzie, gdzie ją spotkam, a najgorszego jej gatunku — megalomanji reakcyjnej — zwłaszcza.

Nie, panowie! Wolno wam imać się pracy nad ludem lub nie — to już zależy od waszych dobrych chęci. Lecz przeszkadzać i stawiać tamy samemu ludowi w jego dążeniach do oświaty, samopomocy i uobywatelnienia, miotać niesłuszne i bezmyślne oskarżenia na garstkę inteligiencji dobrej woli, która bezinteresownie pragnie ludowi przyjść z pomocą w jego dążeniach — tego wam niewolno! Ogółowi polskiemu zbyt wiele zależy na podniesieniu ludu, zbyt wiele z tą sprawą jest związanych nadziei na przyszłość, abyśmy mogli obojętnie czytać karykaturalne artykuły p. D. Tak, karykaturalne, bo trzeba dużo złej woli, aby jasnego, rzeczowego i uczciwego komunikatu p. Malinowskiego zrobić to, co zeń zrobił p. D.!

Dajcie więc spokój ludowi i zwolnijcie go ze swej nieproszonej opieki! Nie troszczcie się o jego religijność! Niema obawy, aby lud polski, w blizkiej przynajmniej przyszłości, stał się niereligijnym. On tylko tę religijność przekroi i przystosuje do swych ideałów i potrzeb. A jest już rzeczą zgoła obojętną, czy ta jego religijność będzie religijnością według waszych kanonów i rozumienia.

Bardzo wierzymy, że budzenie się ludu do uświadomienia obywatelskiago wam się podobać nie może, jesteśmy jednak zdania, że takie jednostki, jak Kielak Biniekówna, Manterys, Nocznicki i, dziś już wiele innych, przynoszą zaszczyt nietylko polskiemu ludowi, lecz i całemu polskiemu społeczeństwu.

Jeżeli więc nie macie do ofiarowania ludowi wiejskiemu nic nad niesprawiedliwą, stronniczą krytykę, nad złośliwe insynuacje, nad przeszkody stawiane jego dążeniom, to najlepiej uczynicie, poprzestając na roli biernych widzów, gdyż nad taką robotą i nad takim współdziałaniem kruk nawet nie zakracze.

J. Łopuszański.

Listy z Galicji.

XI.

Otwarcie Sejmu. Budżet krajowy na rok 1911. Sprawa reformy wyborczej do Sejmu. Zjednoczenie demokratyczne. Kanały. Uniwersytet rusiński. Nowe pisma.

Sejm został otwarty 22 września. Mnóstwo ważnych spraw będzie poruszonych podczas obecnej sesji. W liście dzisiejszym wspomnę tylko o niektórych, później omówię inne.

Wydział krajowy przedstawił Sejmowi preliminarz budżetu krajowego na rok 1911. Pozycje w nim

---

re w samym swoim założeniu, słowem — *człowiek przeciętny*. Dusza jego składa się z *danych statystycznych*, ułatwiających algiebraicznym porachunkom myśli nietwórczej pełną przewidywań opiekę nad t. z. „życiem wogóle" Światopogląd jego polega na uznaniu faktów *częstotliwych* za jedyne zasady realne istnienia i na podniesieniu tej *częstotliwości* do rangi praw wiekuistych. Stąd nie lubi on zjawisk rzadkich, niespodzianych, niezdolnych do częstotliwego wyłania nia się z głębi twórczej na powierzchnię widomego trwania.

Jest — normalny, to znaczy wypełnia zawsze ogólną normę przewidzianych uczynków dobrych.

Jego uczynki dobre — są musowym załatwieniem martwych w swej istocie rachunków, które się odbywają zazwyczaj w tych lub innych zakładach dobroczynnych, gdzie człowiek przeciętny występuje w roli obojętnego filantropa.

Jego zbrodnie — są obowiązkowym odruchem jego pedantycznej istoty, która się lęka wszelkiego odstępstwa od ogólnie przyjętej normy.

Nie sama kara, lecz przynależna mu za te zbrodnie *ogólnikowość* kary, jak ciężka zmora, spada na zbyt luźnie zastosowane do niej bary żywego zbrodniarza, pociągniętego do odpowiedzialności nie tyle za swoje własne przestępstwo, ile za umówione z góry wykonanie przewidzianego czynu, włączanego natychmiast do łańcucha przyczyn i skutków, który, nakształt łańcucha sędziowskiego, dźwiga na swej szyi ten sam człowiek przeciętny.

Jest on — zaiste — nieodwołalnym i nieuniknionym pośrednikiem naszym! W życiu zbiorowym z wielkim powodzeniem zastępuje on jednostkę.

Trudno nam podejść do życia, ażeby nie natrafić na jego opór lub interwencję. Cokolwiek czynimy — musimy czynić za jego uprzywilejowanym pośrednictwem.

Nie nas bowiem, lecz właśnie jego ma na myśli wszelkie prawodawstwo. Nie z naszymi, lecz z jego potrzebami liczy się całe społeczeństwo. Nie o naszych, lecz o jego cierpieniach myśli troskliwie wszelka dobroczynność i działalność społeczna. Nie my, lecz on w abstrakcyjnym i nałogowym poczuciu ogółu stanowi — przedstawiciela całego narodu. Dla niego budują się całe instytucje, powstają państwa i królestwa!

Czy ten wieczny i niezmienny pośrednik zdolny jest do rozwoju — trudno orzec. Rozwój człowieka przeciętnego, jeżeli nawet istnieje, — jest zbyt minimalny i niepochwytny, ażeby go można było określić.

(D. N.)

zawarte są bardzo ciekawe, gdyż rzucają dużo światła na stosunki gospodarcze i kulturalne w Galicji. Z tego też względu przytaczam je niżej:

	Dochody	Rozchody
	w koronach	
1) Reprezentacja kraju	50	194,250
2) Zarząd	366,442	2,399,427
3) Sprawy zdrowotne	2,554,374	6,667,860
4) Dobroczynność	—	108,403
5) Oświata i sztuka	4,186,867	25,285,835
6) Pomniki historyczne	100,550	333,325
7) Bezpieczeństwo publiczne i koszty kwaterowe	447,308	1,163,125
8) Komunikacja	833,942	6,086,169
9) Budowy wodne i meljor.	5,722,336	8,962,344
10) Rolnictwo	1,043,919	3,030,497
11) Górnictwo	212,619	247,569
12) Przemysł i rękodzieła	577,744	1,861,677
13) Długi krajowe	164,668	3,793,942
14) Pensje emerytalne i dary z łaski	50,008	347,323
15) Opłaty konsumcyjne	21,210,000	2,428,000
16) Rozmaite	1,708,500	194,712
17) Dodatek do podatków bezpośrednich	22,395,596	—
Razem	61,574,923	63,104,458

Niedobór faktyczny wynosi 23,925,109 kor. Nie uwidocznił się w powyższych liczbach, gdyż preliminarz przewiduje z góry zwiększony dochód przez podniesienie o 10 proc. dodatków do podatków. Podwyższenie to musi oczywiście zdecydować Sejm.

Potrzeby kraju szybko wzrastają, a na ich pokrycie brak odpowiednich środków. Możnaby je wydobyć po przeprowadzeniu reformy finansowej. Rząd pragnie poprzednio uzdrowić skarbowość państwa, a potym finanse poszczególnych krajów. Poprawy ich w Galicji wymagają zwiększenia zakresu kompetencji sejmu w sprawach skarbowych, co wymagałoby rozszerzenia autonomji krajowej.

Żywioły demokratyczne tylko w tym wypadku przystaną na to rozszerzenie, jeżeli przeprowadzona będzie reforma wyborcza.

Stan finansowy Galicji jest stosunkowo jeszcze nie najgorszy, do czego przyczynia się znacznie znana oszczędność marszałka Badeniego. Niestety jednak, oszczędność ta idzie w parze z niezaspokajaniem najważniejszych nieraz potrzeb ludności. Naprz. szpitalnictwo w Galicji znajduje się w najopłakańszym stanie. Nawet Lwów niema odpowiednich szpitali, a cóż dopiero powiedzieć o prowincji

Najskrupulatniejsza oszczędność nie poprawi finansów krajowych. Zaradzić złemu może tylko uprzemysłowienie kraju.

Galicja mogłaby także ciągnąć poważne zyski z kuracjuszy, gdyby kraj objął na własność liczne zdrojowiska i odpowiednio je urządził. Oczywiście wymagałoby to dużych wkładów, ale opłaciłoby się niezawodnie.

Reforma wyborcza do sejmu wcale się nie posunęła naprzód. Konserwatyści, w sposób bezczelny i prowokacyjny, nietylko nie zamierzają nic ustąpić ze swych przywilejów, lecz pod pozorem zmiany ordynacji wyborczej, chcą jeszcze zwiększyć i tak już swój niepomiernie wielki wpływ. Nietylko upierają się przy utrzymaniu systemu kurjalnego najniesprawiedliwszego w świecie, lecz chcą go jeszcze pogorszyć przez zaprowadzenie pluralności w głosowaniu w miastach i na wsi.

Pluralność przy głosowaniu w miastach przeszła w podkomisji do reformy wyborczej, upadła natomiast w zastosowaniu do wsi.

Argumenty konserwatystów przeciwko czteroprzymiotnikowemu prawu głosowania nie wytrzymują żadnej krytyki. Państwo, ani kraj nie są towarzystwami akcyjnymi, w których więcej głosów ma ten, co posiada więcej akcji. Sami utyskują nieraz, że Galicja krzywdzona jest na korzyść bogatszych krajów monarchji (Austrji właściwej i Czech). A przecież, jeżeli uznaje się słuszność cenzusu majątkowego, w tej albo innej formie, w zastosowaniu do jednostek, to przyjąć go trzeba w stosunku do krajów.

Konserwatyści zwalczają ideję równości przy wyborach, twierdząc, że ludzie nie są równi. Zapewne, ale ponieważ niema doskonałego kryterjum wartości poszczególnych jednostek, ponieważ wartość ich, pod różnymi względami, jest niejednakowa i ponieważ wreszcie wszyscy są obywatelami kraju i państwa, płacą podatki, bezpośrednie albo pośrednie, służą w wojsku, w ten albo inny sposób spełniają różne funkcje społeczne — więc wszystkim dać należy równe prawo głosu.

Majątek zwykły idzie w parze z cynizmem, kastowością i obojętnością na interes ogółu. Nawet cenzus umysłowy nie idzie zawsze w parze z moralnym. Wszelkie więc ograniczenia nie odpowiadają celowi i nie mogą zapewnić „wybranej" reprezentacji.

Zresztą, przypuściwszy nawet, co byłoby błędem, że czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze jest w pewnym stopniu, wadliwe, to i wówczas nawet należałoby je wprowadzić do sejmu, skoro obowiązuje do Rady państwa, wymaga tego bowiem koniecznie powaga moralna sejmu krajowego.

Czteroprzymiotnikowe prawo głosowania do sejmu nie uzyskałoby zapewne na razie sankcji cesarza. Nie wypływa z tego jednak, żeby jej potym nie miało otrzymać pod naciskiem opinji kraju. Opór rządu jest zreszta koncesja dla zachowawczych żywiołów, podkopanych przez reformę wyborczą do parlamentu.

Jeżeli jednak, z tych czy innych powodów, przeprowadzenie czteroprzymiotnikowego prawa głosowania do sejmu jest obecnie niemożliwe, to w każdym razie żywioły demokratyczne w sejmie *w żadnym razie nie powinny się godzić na nowy system wyborczy, w którymby system kurjalny miał być połączony z pluralnym głosowaniem.*

Żywioły demokratyczne w sejmie powinny postawić konserwatystom alternatywę: *albo system kurjalny z piątą kurją powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego prawa głosowania, albo pluralny system głosowania bez kurji.*

Utrzymanie zaś systemu kurjalnego i pogorszenie go przez pluralność, byłoby krokiem wstecz, wobec obowiązującej dziś ustawy wyborczej do sejmu. Istotnie, dziś, przy neutralnym zachowaniu się władz, żywioły demokratyczne mogą zdobyć poważną liczbę głosów w kurji miejskiej i chłopskiej. Przy systemie wyborczym, proponowanym przez konserwatystów — żywioły demokratyczne byłyby bezsilne. Z dwojga więc złego lepiej już pozostać przy dzisiejszej ustawie wyborczej, aniżeli przyjąć tę, którą chcą narzucić społeczeństwu obszarnicy.

Następne wybory mogą być dla konserwatystów bardzo niepomyślne.

Marszałek Badeni i inni lubią twierdzić, że będąca obecnie na porządku dziennym reforma wyborcza ma na celu jedynie danie głosu tym, którzy go dotychczas nie mają. Takie postawienie kwestji jest błędne, gdyż nie chodzi tylko o nadanie głosu nowym kołom społecznym, lecz także o zapewnienie im należytego wpływu.

Obowiązująca obecnie ordynacja wyborcza do sejmu daje nadmierny wpływ przedstawicielom wielkiej własności ziemskiej, z krzywdą miast, włościan i z usunięciem zupełnym proletarjatu miejskiego i wiejskiego.

Reforma wyborcza powinna:

1) dać prawo głosu proletarjatowi;
2) zwiększyć wpływ mieszczaństwa;
3) wzmocnić wpływ włościan.

Konserwatyści twierdzą, że sejm, składający się

tylko z jednej Izby, nie powinien być oparty na demokratycznej podstawie, gdyż zapewniłoby to przewagę żywiołom radykalnym.

Twierdzenie to jest błędne, bo nawet jednoizbowy sejm posiadałby poważny czynnik konserwatywny w postaci wirylistów t. j. osób, zasiadających w sejmie z urzędu. Liczbę wirylistów możnaby nawet zwiększyć.

Żadne jednak argumenty nie przekonają konserwatystów, którzy godzą się na taką tylko reformę wyborczą, która im zapewnia większość. Przy solidarnym działaniu, w sprawie reformy wyborczej, demokraci, ludowcy i rusini mogliby zmusić konserwatystów do poważnych ustępstw.

Ponadto, trzeba w kraju poza sejmem poruszyć opinję publiczną i wywrzeć nacisk na konserwatystów, którzy chcą teraz upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: przeprowadzić wsteczną reformę wyborczą i reorganizację administracyjną. Otóż należy koniecznie te dwie sprawy oddzielić i najpierw przeprowadzić reformę wyborczą.

Posłowie demokratyczni zrobili pierwszy krok do zjednoczenia się w nowe stronnictwo poza narodową demokracją. Przed kilku dniami zebrało się około dwudziestu osób dla omówienia bieżących spraw. Zebranie to poprzedziła konferencja narodowo-demokratyczna, która wypadła niepomyślnie dla p. Grabskiego. Postanowiono prowadzić taktykę ostrożną, unikać zaciętej walki na wszystkie strony, zwłaszcza przeciwko namiestnikowi i marszałkowi. Uchwała ta była konieczną dla powstrzymania dalszego rozkładu stronnictwa.

Poseł German, którego narodowa demokracja usunęła, wiedząc, że chce ją sam opuścić, stanął w Nowym Sączu przed wyborcami. Na zebranie to przybył i p. Grabski. Wywiązała się dyskusja, po której zebrani wypowiedzieli votum nieufności posłowi Germanowi. Z tego względu p. Grabski tryumfował w *Słowie Polskim*. *Gazeta Powszechna* twierdzi jednak, że uchwała ta nie jest zwycięztwem p. Grabskiego, gdyż na zebraniu większość tworzyli socjaliści, którzy naturalnie musieli głosować za rezolucją przeciwko obecnemu posłowi.

Do Zjednoczenia demokratycznego, które się dopiero tworzy, ma zczasem przystąpić więcej posłów z pośród demokracji narodowej.

Sejm zajmie się także sprawą kanałów i propozycją rządu udzielenia kwoty 120 miljonów na przeprowadzenie kanału Wisła—Dniestr. Do przedmiotu tego wrócę w liście następnym.

Niedawno, prezes koła Głąbiński wypowiedział się w jednym interwiewie w sprawie uniwersytetu rusińskiego. Zdaniem jego, straciłaby swą ostrość, gdyby Rusini zgodzili się na wszechnicę w innym mieście, a nie Lwowie.

Pogląd ten jest sprzeczny ze słowami, które mówił w parlamencie wiedeńskim po śmierci namiestnika Potockiego.

Polacy nic nie mają przeciwko odrębnemu uniwersytetu rusińskiemu, nie chcą tylko utrakwizacji uniwersytetu lwowskiego. Obecnie występują już przeciwko założeniu rusińskiego uniwersytetu we Lwowie.

Tak jest zawsze z ustępstwami wobec Rusinów. Polacy chcą uniknąć ich za jakąkolwiek cenę i szukają tylko pozorów, żeby do nich nie dopuścić. Jest to polityka w najwyższym stopniu szkodliwa.

We Lwowie powstać mają nowe pisma. Kilku przedstawicieli koła ludowego w Radzie miejskiej postanowiło wydawać tygodnik polityczno-społeczno-literacki. Pismo takie może być bardzo pożyteczne, o ile wystąpi z jasnym programem w sprawie rusińskiej, w kwestji reformy wyborczej, administracyjnej i innych, będących na porządku dziennym. Jeżeli zaś ograniczy się tylko do popularyzowania sympatycznych i szerokich haseł narodowo-społecznych bez względu na ich aktualność w chwili obecnej, bez liczenia się z rzeczywistością, to nie odpowie swemu zadaniu.

P. Rawita Gawroński, autor sensacyjnych „studjów" o kozaczyźnie i Chmielnickim, wydawać ma kwartalnik „historyczny" p. t. *Ruś*. Będzie to zapewne organ szowinistyczny na podkładzie naukowodziejowym.

Ludwik Kulczycki.

Chwila obecna na Rusi.

I.

Okres ruchu wolnościowego wskazał społeczeństwu polskiemu na Rusi olbrzymi zakres pracy nad własnym odrodzeniem. Po przymuszonym długim śnie, społeczeństwo nasze z przerażeniem stwierdzić musiało fakt, że w porównaniu z żywiołem polskim w innych dzielnicach, zostało ono zdystansowane w rozwoju, że wszelka praca społeczna stoi odłogiem, że braknie nam zupełnie świadomości swych celów i swej przyszłej roli na terytorjum etnograficznie obcym.

Zabrano się więc do energicznej pracy na polu politycznym, ekonomicznym i oświatowym. Korzystając ze świeżo przyznanych ulg, Polacy na Rusi zaczęli organizować się w stronnictwa polityczne, zawiązywać stowarzyszenia o celach kulturalnych; stworzyli wreszcie prasę polską nad Dnieprem, która czuwać powinna nad planowością wysiłków społeczeństwa.

Niestety, pierwsze kroki na arenie działalności politycznej wykazały jasno, że społeczeństwu naszemu, pełnemu „dobrych chęci" i zamiarów, braknie politycznego wyrobienia, które dopiero zdobywać sobie musi. Dzieje miejscowych „Kadetów polskich", „polskiego stronnictwa narodowego", wreszcie „stronnictwa krajowego" — to cały szereg rażących błędów, popełnionych „bona fide", bez należytego zrozumienia istotnych potrzeb i celów naszego społeczeństwa.

Upadały jeden po drugim organy prasy polskiej w Kijowie — pozostał zaledwie *Dziennik Kijowski*, popierany przez zamożne ziemiaństwo i *Lud Boży*, wnoszący polskie słowo drukowane pod słomiane strzechy wraz z duchem „katolickiej pobożności". Zamiast polskich pism postępowych, szerzy ultramontańskie poglądy wśród inteligiencji *Głos Katolicki*, organ ks. K. Stawińskiego.

Liczne stowarzyszenia polskie zgrupowały się w Kijowie. Prowincja, nawet takie miasta jak Żytomierz i Kamieniec, nie zdobyły się na nie poza organizacjami filantropijnymi. Dziś dalsze powstawanie istytucji polskich w kraju naszym, wobec znanego wyjaśnienia Senatu i okólnika ministerjum spraw wewnętrznych, stało się niepodobieństwem.

Polskie stowarzyszenia w Kijowie, z paru wyjątkami, nie są zdolne utrzymać się o własnych siłach, muszą więc pozostawać w zależności od „poparcia ogółu", inaczej mówiąc, od kieszeni ludzi majętniejszych. Smutnymi, zwłaszcza, są losy „Polskiego Towarzystwa Miłośników Sztuki", które utrzymywało dotąd scenę polską w Kijowie. Ciężko walczy o swój byt „Towarzystwo Gimnastyczne", nawet ziemiańsko-burżuazyjny klub „Ogniwo" dopiero zeszłoroczny swój budżet zakończył po raz pierwszy bez deficytu.

Klęską prawdziwą dla życia polskiego na Rusi było zeszłoroczne ostateczne zamknięcie towarzystwa „Oświata", w którym tyle nadziej na przyszłość pokładano. Bez polskich instytucji oświatowych, pomijając już ziemiaństwo i inteligiencję miejską i fabryczną, którzy jakkolwiekbądź dadzą sobie radę, najliczniejsze u nas zastępy ludności polskiej pracujące w rolnictwie lub przemyśle, szlachta zagonowa i osadnicy mazur-

scy — skazani są na ciemnotę i wynarodowienie lub spaczenie duszy przez obce i reakcyjne szkolnictwo. O szerzeniu kultury polskiej wśród tych warstw drogą legalną dziś już niema mowy.

Inteligiencja polska wysiłkami jednostek nie może sprostać ogromowi pracy oświatowej. Z boleścią w sercu patrzy ona na marnie ginące młode siły społeczne, na zieloną ruń narodu, która być może nigdy ziarna zbożnego nie wyda. Ani praca ekonomiczna w towarzystwach rolniczych, ani kooperatywy nie zastąpią ludowi oświaty i same one bez szkół wzorowych liche tylko wydadzą plony. — Niema jednak oświaty tej ani dla ubogiego Polaka na Rusi, ani dla włościanina Ukraińca... Ciemnota, stronna w swych skutkach, gnieździ się po wsiach i miasteczkach i długie jeszcze będzie jej panowanie.

Jak dawniej, „ostoją" naszej polskości na Rusi pozostaje kościół i ksiądz katolicki. Kazania, nabożeństwa, pieśni polskie religijne i pielgrzymki do miejsc „cudownych" — są to, niestety, jedyne objawy życia zbiorowego naszych mas nieukształconych. Księża nasi, doskonale zagospodarowani na wygodnych probostwach, dbają przedewszystkim o przestrzeganie zasady nienarażania się prądom polityczno-reakcyjnym. Cele religijne zawsze stawiane są ponad wszelkie inne względy. Więcej się poświęca czasu gromieniu z ambon przewrotowców, czytających bezbożne pisma, niż wysiłkom, by elementarz polski dostał się do zagrody szlacheckiej czy włościańskiej. W chwili, gdy wśród ludu budzi się poczucie odrębności narodowej, wygłaszane są przez księży zasady, w rodzaju tej, że przedewszystkim należy być katolikiem, a dopiero potym Polakiem. Że interes katolicyzmu może częstokroć sprzeciwiać się interesom narodowym — o tym zachowuje się dyskretne milczenie. Katolicyzm więc i polskość w dalszym ciągu uważane są za synonimy.

Przed miesiącem spotkał nas cios nowy. Z rozporządzenia władz petersburskich, bez wskazania powodów,zawieszoną została działalność „Związku oficjalistów rolnych na Rusi". Związek ten łączył pod swym sztandarem kilka tysięcy pracowników rolnych. Nie było to stowarzyszenie wyłącznie polskie. Należeli doń i Rosjanie i Rusini i żydzi, pomiędzy którymi Zarząd „związku" żadnej nie czynił różnicy.

Jednakże klasa oficjalistów rolnych na Rusi jest przeważnie polska. Potrzebowała ona nieodzownie organizacji, ułatwiającej walkę o polepszenie bytu, poszukiwanie pracy i zaspokojenie przynajmniej niektórych potrzeb ekonomicznych i kulturalnych. Praca w „Związku", prowadzona, zresztą, w duchu godzenia interesów ekonomicznych pracodawców i pracowników, bądźcobądź w życie zbiorowe warstw pracujących na roli wlewała pewny zasób energji i uświadomienia społecznego, była etapem w dążeniu ku lepszej przyszłości.

Obecnie oficjaliści rolni znaleźli się w dawnym położeniu — muszą walczyć o swe losy w pojedynkę. Szczęściem, pozostawiono jeszcze „przy życiu" „Kasę emerytalną" oficjalistów, założoną dzięki staraniom działaczów „Związku".

Wprawdzie istnieje jeszcze inny związek, w którym pracownicy rolni stanowią poważny odsetek t. z. „Związek Gniewański", lecz organizacja ta, hołdująca skrajnym teorjom, kierowana przez doktrynerów, dała już liczne dowody, że modne hasła zdolna jest stawić wyżej od realnych interesów pracownika. Wiedzie ona żywot marny, bez widoków przyszłości i liczba członków jej zmniejsza się z przerażającą szybkością. Zmarnowano tam wiele ludzkiej energji i siły,

Spodziewany „samorząd" ziemski na Rusi do zmian w stosunkach krajowych nie przyczyni się wcale. Udział nieznaczny żywiołu polskiego obezwładniony będzie przez żywioły rosyjskie, skrajnie reakcyjne i nowe „ziemstwo" prawie w niczem nie będzie różnić się od fukcjonującego obecnie „ziemstwa uproszczonego", które stworzył Plehwe. Potrzeby naszego społeczeństwa i naszych warstw ludowych z tej strony żadnej pomocy nie doświadczą.

Wracamy więc znowu po krótkich iluzjach do dawnej sytuacji przed osławioną „reformą". Istniejące tymczasem instytucje polskie u nas, wiemy dobrze, stopniowo ulegać będą zawieszeniu. Praca dla społeczeństwa i narodu stanie się znowu udziałem ofiarnych jednostek, które dźwigać będą odpowiedzialność za przyszłe losy polskości w tym kraju. Nie wątpimy jednak, że praca inteligiencji naszej, a przynajmniej lepszej jej części, spełni swe szczytne zadanie i utrzyma społeczeństwo chociażby na obecnym poziomie bez dalszych strat do chwili, gdy możliwą się stanie naprawdę praca społeczna w państwie rosyjskim.

Społeczeństwo, które w ciągu półwieku podlegało najsurowszym ograniczeniom swych praw — lecz nie utraciło swych cech narodowych — dało dowód żywotności i wytrwania. Wierzym, że siły tej, pokrzepionej krótkim okresem wolnościowym, wystarczy do przyjścia jutrzenki prawdziwych swobód konstytucyjnych.

L. Radziejowski.

NA DOBIE.

Czyja wina?

Strajk tramwajowy skończył się nareszcie. Konduktorzy i motorniczowie podjęli czynności swoje tymczasowo na poprzednich warunkach.

Pozwolono im przedstawić zarządowi swoje pretensje, zarząd zaś obiecał rozpatrzeć je w przeciągu 4-ch tygodni.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie stało się w warunkach zaiste tak bezprzykładnych, że nawet na nasze ciężkie czasy, bardzo wątpliwie prawnych.

Ale potem o tem

Narazie idzie nam o streszczenie przyczyn gołego faktu, w którym pewne odłamy naszej prasy dopatrzyć się pragną spienionych grzbietów jakiejś powrotnej fali... któraby zalać mogła ich kramiki intratne

A sprawa tymczasem cała obraca się w granicach czterech działań arytmetycznych i przedstawia się prosto, przerażająco prosto.

Obowiązki konduktora i motorniczego tramwajów warszawskich należą do ciężkich. Wymagają stałego napięcia uwagi, ciągłej przytomności umysłu, anielskiej cierpliwości i... końskiego zdrowia.

Konduktor i motorniczy, stojąc na zewnątrz wagonu w deszcz, śnieg, mróz, zawieruchę, muszą zrobić 6 kursów dziennie. Czyni to, licząc kurs tam i z powrotem godzinę minut dwadzieścia, postoje i inne przeszkody od 8 miu do 9-ciu godzin na dobę.

Ani jeden, ani drugi, przecharowaszy owe godzin dziewięć w nieustannej obawie kryminalnej odpowiedzialności w razie bardzo możliwego na każdym kroku wypadku, nie są juz zdolni do jakiejś dodatkowej pracy, powiększającej ich dochody. Muszą żyć wraz z rodziną za to, co im akcjonarjusze zyskownego bardzo przedsiębiorstwa z odsetek swoich udzielą.

I tu jest oto ów sęk przysłowiowy, a w sęku tym tak wielka dziura że przesączy się przez nią wszystka polityka sprawy, niby woda przez rzeszoto.

Konduktor i motorniczy za swą ciężką pracę otrzymują: na początek rubla dziennie, po pięciu tygodniach rubla i kopiejek dwadzieścia, które po upływie mniej więcej sześciu miesięcy urastają do rubla kopiejek czterdziestu, czem też dany pracownik kontentować się musi przeważnie lat kilka.

Wreszcie otrzymuje tak zwany etat: od 48 do 50 (maksimum) rubli miesięcznie.

Prócz pensji, pracownicy tramwajowi (w służbie ruchu) dostają umundurowanie, kurtka, czapka letnia, czapka zimowa i paltot. Buty i kożuchy, tak niezbędne podczas mrozów zimą, szczególniej dla motorniczych, kupuić sobie trzeba samemu.

I to stanowi całe uposażenie pracownika tramwajów warszawskich ze służby ruchu, zaiste! nie godne zazdrości.

Do dóbr, z których ten pracownik na służbie korzysta należą pozatym: prawo urlopu, porada lekarska i środki lecznicze.

Prawo urlopu, stanowiące jedno z przedstawionych przez pracowników tramwajowych przed strejkiem jeszcze żądań, jak to podobno zarząd twiedzi, zaspokojonych, przedstawia się w ten sposób, że na urlop roczny składają się dnie wolne w miesiącu (I na miesiąc) o tyle, o ile dany pracownik z nich nie korzystał. Wolnych tych dni w roku jest dwanaście, a więc ten, kto ani jednego z nich nie zmarnował na jakąś niezbędną potrzebę, po roku otrzymuje urlopu całych dni dwanaście, to jest niecałe dwa tygodnie.

Porada lekarza ogranicza się prawie że wyłącznie do wydawania świadectw tym pracownikom, którzy na służbę z powodu choroby przyjść nie mogą, a nadmienić trzeba przy sposobności, że takie niezjawienie się na służbę, bodajby nawet i za świadectwem lekarza, w wielu wypadkach pociąga za sobą strączkę z pensji.

W pierwszej linji jużciż podlegają jej konduktorzy i motorniczowie płatni dziennie. Zarząd nie płaci im nawet za jeden dzień choroby.

Z lekarstwami ma się rzecz taksamo, jak, dajmy na to, na kolei nadwiślańskiej. Tanie środki wydawane są bezpłatnie; droższych niema wcale.

Lekarz i środki lekarskie zresztą, chociaż zaliczane przez zarząd do żądań służby już zaspokojonych, nie przedstawiają się przecież imponująco, a w żadnym razie nie stanowią doli, z których mogłaby korzystać rodzina pracownika tramwajowego, tak, że choroba w domu obarcza jego budżet całkowicie.

Ale nie jest to jedyny minus, który postawić należy pod wspomnianym wyż. 48 lub 50-cio rublowym etatem.

Do minusu tego z odpowiednią cyfrą dodać należy minus dni opuszczonych z jakiegokolwiekbądź powodu, pomnożywszy je przez odpowiednią djetę i minus całą sumę kar, która przez miesiąc dochodzi nieraz do bardzo pokaźnych rozmiarów.

O karach tych zarząd tramwajów milczy niezwykle uporczywie. Różni wywiadowcy różnych pism codziennych dowiedzieli się z ust różnych dygnitarzy tow. tram. różnych rzeczy. Nad karami obie strony przechodziły jakoś zgodnie do porządku dziennego. I stały się te kary niby jakieś tabu — nietykalne.

A tymczasem wszyscy konduktorzy i motorniczowie powtarzają zgodnie, że od kar tych pewien procent otrzymują panowie kontrolerzy i dlatego to za karami tymi urządzają nieraz prawdziwie dzikie pogonie.

I tak: pracownik w służbie ruchu tow. tram. warszawskich płaci karę jeżeli na chwilę przysiądzie wewnątrz pustego bodajby wagonu. Płaci karę, jeżeli w biegu wagonu zapali papierosa, płaci karę za odrapanie i inne uszkodzenia częściowe wagonu, płaci karę za zbitą szybę, za pasażera, który przejechał sekcję, za dziecko zbyt łagodnie w wieku oszacowane, za ucznia, którego p. kontroler za ucznia nie uzna, za chłopaka sprzedającego gazety, który mu w biegu wagonu na stopień wskoczy, za zbyt szybką i za zbyt wolną jazdę za zawczesne i za spóźnione przybycie do remizy i za wiele, wiele jeszcze nieporozumień, przewinień i niewypełnień fizycznie niemożebnych obowiązków, których lista jest tak długa, jak cierpliwość płacącego te kary pracownika i ciemna, niby sumienie jego zarządu.

Prawda, podobno z kar tych powstaje jakiś fundusz zapomogowy, prawda, podobno tym funduszem zarządzają nawet przez wybranych z pośród siebie sami ci pracownicy służby ruchu, ale, jeżeli budżet 48 a masymalnie 50-ciu rubli, po odtrąceniu zeń dni przechorowanych lub opuszczonych z konieczności, obciążyć jeszcze rubryką kar, która, jak zapewniają, wynosi przeciętnie od 7 — 15 rb. miesięcznie na osobnika, toć przecież nolens-volens musi wybuchnąć strejk.

Ku strejkowi temu dążył, strajk ten zorganizował, do strajku tego popchnął swoich pracowników zarząd towarzystwa tramwajów warszawskich i on jeden za wszystkie konsekwencje i skutki powinien być odpowiedzialny.

A odpowiedzialność to ciężka.

Bowiem doprowadzać kogoś do kroków niebacznie rozpaczliwych dzisiaj wobec panujących u nas stanów i nastrojów, to — prowokacja!

Z powodu książki p. Elliek Morna: „Zbudź się i walcz".

Jedną z mnóstwa książek, obliczonych na ogłupianie czytelnika, mających obok tego na celu wypompować pieniądze na rzecz wydawcy, jest opracowanie wyżej wspomniane, w którym amerykański autor na 290 stronicach nudzi bezustannym powtarzaniem się i drwi sobie ze zdrowego rozsądku czytelnika, robiąc na tym złośliwym żarcie pewno nie najgorszy „bussiness". Pewną nowością w tej ogłupiającej literaturze jest to, że autor mimowolnie, czy z rozmysłem otwarcie zachęca do ogłupiania się, a domyślnie rekomenduje się jako zwolennik pożytecznego kłamstwa, które stale nazywa prawdą, ażeby zachęcić do przejęcia się tym kłamstwem i przemycić je do świątyni opinji; bez tej fałszywej legitymacji nie wpuszczonoby tam kłamstwa.

Autor odwołuje się do Pascal'owskiego „Abêtissez-vous", ażeby uspokoić się do „will to beliere" (chęci wierzyć), która zdolną jest do wszelkich cudów.

Przygotowując się na przewidywaną ewentualność, autor z góry zastrzega się i oświadcza przeciw „krytycyzmowi", rzekomo szkodliwemu, a zalecając „marzenie", jako środek odmładzający i odnawiający energje, nazywa je sam „kąpielą fantazji, oskrzydlonej na kwitnących łąkach niedorzeczności". W tych warunkach z góry można być przygotowanym, że ujawnienie bredni amerykańskiego autora stanie się zbyt łatwą rzeczą, gdyby nie to, że ogromna ich mnogość wymagałaby napisania grubej książki. Zastrzeżenia autora przez nas wyżej wspomniane, stawiają go poza nawiasy krytyki rozumowanej i naukowej, odmawiającej twierdzeniom autora swej sankcji, choć dla dekoracji i gołosłownie p. Morn zapewnia, że są one w zgodzie z ostatnimi wynikami wiedzy.

To powoływanie się na zgodność z ostatnimi wynikami wiedzy tylko po to jest robione, ażeby tą fałszowaną etykietą suggiestjonować czytelnika i podnieść kredyt ryzykownych bredni, wygłaszanych bez zająknienia i zmrużenia oka. Pan Morn otwarcie wyznaje, że uważa on aforyzmy za wystarczające uzasadnienia i wyjaśnienia swych twierdzeń. Ponieważ w oceanie całkowitej literatury, w której dziwolągi stanowią nieodłączną część, można odszukać na wszystko potwierdzające aforyzmy, więc autor, posługujący się podobną niewyszukaną metodą, niema kłopotu, ani mozołu, apodyktycznie głosząc swe twierdzenia.

Nie mielibyśmy cierpliwości przeczytać od deski do deski ten marny elaborat, gdyby nie nadzieja wy-

czucia jakiej interesującej oznaki współczesnej, dekadenckiej kultury schyłkowej. I tylko z tego względu fantazje p. Morna mogłyby nabrać jakiego interesu. Niestety, nie dużo oznak czasu dało się spostrzec wyciśniętych na tym osobliwym utworze, natomiast dużo więcej amerykanizmu. O tym amerykanizmie przeciętny czytelnik polski ma nieraz trochę cudzych wyobrażeń, zapożyczonych od turystów, gadułów i próżniaków, polujących na ekscentryczną płytką anegdotę, niema jednak wyobrażeń, wspartych na krytyce i bezpośrednim świadectwie zmysłów.

Zasadniczym rysem utworu p. Morna jest iście amerykański humbug i szarlatanerja. Rodzaj sprytu, jaki przytym wykazuje, jest wzorowany na zwykłych humbugach, w innej dziedzinie stosowanych. Polega on na tym, by przy zapowiadaniu uszczęśliwiających panaceów, tak to wykonać, żeby sobie pozostawić furtkę, którą możnaby się wyślizgnąć na wypadek ostrego natarcia ze strony zawiedzionych. Pan Morn obiecuje niezawodnie recepty, przywracające młodość starym, piękność brzydkim, gienjalność kretynom, energję znużonym, szczęście i radość smutnym i nieszęśliwym, gienjalne potomstwo nieszczęśliwym rodzicom, dobroć złym. A wszystko to osiąga się bez jakichbądź fizycznych zabiegów, z pominięciem aptekarskich, leczniczych lub jakichkolwiek kosztów i wydatków, ot wprost za pomocą chcenia, medytowania, kontemplacji, dostarczających upojenia psychicznego i wizji autoplastycznych. Jeżeli zastosowanie tych recept nie wyda oczekiwanych i widocznych wyników, to według p. Morna, nie znaczy, ażeby owa recepta na panaceum wysnuta, z niby naukowej doktryny, była złą; winę w podobnym razie ponosi sam pacjent, stosujący receptę, gdyż albo nie dosyć silnie chciał, nie dosyć gorliwie medytował, zbyt krótko oddawał się psychicznym praktykom, zalecanym przez autora. Wreszcie zapewnia p. Morn, choć działanie często jest niewidoczne, to jednak ono istnieje pod postacią utajoną. Kto chce uniknąć kontroli, ma w ręku łatwy sposób na to, trzeba tylko wszystko zwalać na tajemnicze objawy, niedostępne dla zmysłów ludzkich. Pan Morn wrzeszczy jak przekupień uliczny, że jest „pożytecznie wierzyć w istnienie objawów tajemniczych, klnie się, że „ostatnie wyniki wiedzy" stwierdziły ich istnienie, ale przezornie słowem honoru nie zaręcza, że to prawda.

W taki sposób zabezpiecza się p. Morn przed natarczywością nie dosyć łatwowiernych wyznawców. Ale p. Morn posiada jeszcze inne assekuracje, pozwalające mu bezkarnie mącić w niedowarzonych lub zwarzonych głowach jak w szafliku: na to jest on dosyć filutem i figlarzem. Można każdemu śmiało naobiecywać wszelkich cudowności, począwszy od czapki niewidymki, siedmiomilowych butów, wody życia, aż do lampy Alladyna włącznie, ale pod warunkiem np., że będzie tak prędko biec naokoło drzewa, że dopędzi siebie samego i pocałuje się we własne plecy. W pewnym apokryfie, czy też „bylinie" ludu rosyjskiego opowiada się o jakimś walnym chłopcu, którego się pytają, czy można z odległości ośmiu sążni skosić łan pola? Można, odpowiada, nie w ciemię bity zuch, trzeba tylko to robić za pomocą „oślego rogu". Otóż p. Morn, zalecając recepty, których nikt z zainteresowanych nigdy nie potrafi wykonać, może niestworzone skutki i działania obiecywać bez wszelkiego ryzyka narażenia swej dobrej sławy. Amerykański zbawiciel cierpiącej ludzkości, np. rodzicom, pragnącym posiadać piękne, niepospolite potomstwo, zaleca, jako niezawodny środek, by podczas aktu spółkowania, przejęli się kontemplacją upragnionego przez nich ideału ludzkiego. Nie potrzeba dodawać, że w akcie takim, gdzie wszystko jest nieprzytomnym upojeniem, odruchem, ubezwłasnowoleniem, nikt nie będzie w stanie filozoficznie się zamyślać, by spełnić przepis amerykańskiego filuta; dzięki temu p. Morn zawsze będzie mógł rezolutnie powiedzieć: „aha bratku! nie zastosowałeś mego przepisu, więc nie możesz powiedzieć, czy jest on skuteczny, czy nie?".

Jest niezrozumiałym jednak, dlaczego p. Morn, wraz z cytowanym przez siebie humorystą utyskuje, że wiele rodziców tak zachowuje się podczas aktu zapładniania, że zadaje pytanie „mój kochany, czy nie zapomniałeś nakręcić zegarka?" Pan Morn robi zdumiewające odkrycie, że w tym właśnie tkwi źródło dekadentyzmu współczesnych pokoleń. A tymczasem sam autor każe rodzicom spółkować „z czuwstwom, z tołkom i razstanowkoj", jak mówią moskale. Chyba niema różnicy między troszczeniem się w tak osobliwym momencie o nakręcanie zegara a filozoficznym zadumaniu się na polecony przez p. Morna temat. W przystępie studenckiej łobuzerji bawiliśmy się w swoim czasie konceptem kolegi Franka, który wytworzył teorję, że chcąc spłodzić gienjalnego muzyka, należy przy zapładnianiu gwizdać; ktoby się spodziewał, że z tego swawolnego żartu p. Morn ukuje z całą powagą kodeks życiowy.

Takimi rezolutnymi radami, jak powyższe, są wszystkie, jakimi p. Morn darzy swych cierpliwych i pobłażliwych czytelników.

Naśladując system i metodę p. Morna, przystępując do uzdrowienia chorego na zapalenie płuc, należy mu wyperswadować jego chorobę i zalecić z wielką stanowczością i przekonaniem, by sobie dał spokój z gorączką, kaszlem, bólem w piersiach i t. p. symptomatami. Gdy pacjent, pomimo tych zabiegów, w dalszym ciągu choruje, to mu się mówi: „trudno! skoro nie słuchasz naszej dobrej rady i nie wyrzekasz się ani gorączki, ani bólów, ani kaszlu, więc z własnej winy musisz w dalszym ciągu chorować." Autor z całą powagą, bez zająknienia się, utrzymuje, że starcy tylko dlatego są starymi, że wmówili w siebie starość, z chwilą zaś, gdy sobie ją wyperswadują i poczną w siebie wmawiać młodość, wnet odmłodnieją. Wszyscy złamani ludzie i udręczeni mają tylko „silnie zachcieć", a wnet nastąpi nagła zmiana w ich losie. Skąd owo „silne chcenie" ma się wziąć u ludzi złamanych, o to się p. Morn nie troszczy. Pessymistom, mizantropom, hypochondrykom autor zaleca optymistyczny światopogląd zupełnie tak, jak gdyby na obstalunek jedne światopoglądy jak pudełka mogły być zastępowane przez inne.

Nie skończylibyśmy, gdybyśmy chcieli omawiać wszystkie bzdury p. Morna, których w książce wspomnianej cały legjon. Wystarczy zwrócić uwagę na wyżej poruszone, by nabrać pojęcia o charakterze książki. Jak widać z tego, p. Morn pokłada nieograniczone zaufanie w autosuggiestji, której bezzasadnie przypisuje wszechmoc. Autor nie używa tego terminu, by mogło się wydawać, że snuje jakieś nowe oryginalne myśli, przy obmyślaniu swych recept. Całe rozumowanie wspiera się na niby naukowej doktrynie, że umysł, wola są niezależne od jakichbądź fizycznych warunków, że w odniesieniu do ustroju cielesnego grają rolę gubernatora, któremu ciało niewolniczo ulega.

Z faktu rzeczywistego, że przejawy psychiczne są sprzężone z przejawami materjalnej przemiany, wysnuwa się zupełnie dowolny wniosek, że umysł posiada przymiot bezwzględnego panowania nad ciałem. Na takiej to podstawie d-r Born, niewybredny w zakresie subtelniejszego rozumowania, głosi rezolutnie: „Wzruszenie duszy jest pierwszym objawem wzruszenia ciała". Z taką samą słusznością możnaby, zmieniając szyk wyrazów w zdaniu d-r Borna oznajmieć światu. „Pierwszym objawem wzruszenia ciała jest wzruszenie duszy" i tym sprawić bardzo wielki kłopot d-r Bornowi, który wtedy nie wiedziałby, jak się wyrzec własnych swoich słów, które bądź co bądź obowiązują ich autora. Umysły płytkie i neurasteniczne nie mogą się pogodzić z faktem, że sumienna

wiedza nie jest wszechwiedzą i dlatego na wszystkie pytania, jakie w ich głowach powstać mogą, nie jest ona w stanie odpowiedzieć. Głupiec w przeciągu dwuch kwadransów potrafi więcej spytać, niżeli mędrzec w przeciągu dwuch lat odpowiedzieć.

Podobne niezrównoważone gluptaski padają ofiarą i wpadają w pułapki metafizyków i mistyków, lub tych, którzy na tym opierają swoje spekulacje. Im niższą jest kultura umysłowa, tym liczniejsze ofiary i pułapki. Jest to intellektualne źródło zwrotu do mistycyzmu, ale jest i kulturalne. Pod wpływem rzeczywistości i oczywistości cała ideologja mieszczańskiej cywilizacji leży w gruzach. Nadzieje związane z obietnicami wyzwalającego się mieszczaństwa pierzchły. Zapowiedzi wolności przeobraziły się w dekoracyjny zwrot retoryczny i w konwencjonalne kłamstwo, któremu istniejące niewolnictwo w twarz pluje i szyderczo pokazuje zęby. Rozparłszy się na połamanych tronach feodałów i kleru, musiała ona tym tronom dorobić choć trzy podpierające nogi z tych, jakie się pomiędzy gruzami minionej cywilizacji walały: więc wsparła ona po dawnemu swoją dyktaturę i swój tron na przemocy zbrojnej, dla pozyskania drugiej nogi kokietuje z kościołem, starając się go pogodzić z nowym porządkiem rzeczy. Trzecią nogę do swego trójnożnego tronu dorobiła ona sobie z filozofji pieniądza. Objadłszy się niestrawnej mieszczańskiej kultury, współczesne pokolenia odczuwają niesmak, rodzaj jakiegoś „katzenjameru" i skwapliwie wyciągają rękę po byle szarlatański lek, byleby jego etykieta zapowiadała ulgę. Plutokracja stała się takim samym uciskiem jak teokracja, lub monarchja.

Ponieważ wszelaki ból uświadamia i otwiera oczy, przeto burżuazja chętnie widzi, gdy ktoś preparuje plastry, mające znieczulać rany tych, których życie przykrojone na modłę ideałów mieszczańskich, niemiłosiernie ćwiczy i chłoszcze. Otóż książka p. Morna ma za cel odwrócić uwagę od właściwych źródeł ludzkich udręczeń i od właściwych środków zapobiegawczych.

Choć dla dekoracji książka p. Morna nadrabia miną i udaje, że jest naukową, to chce ona przedewszystkim suggiestjonować czytelnika i tylko z tego stanowiska rozpatrywana nabiera ona sensu. Istotnie p. Morn, nic nie pominął w swej książce, ażeby do jej treści wzbudzić ufność niedokształconego czytelnika i żeby go suggiestjonować w zamierzonym i upodobanym sensie. Stara się on pozyskać dla tego celu budzony instynkt samozachowawczy czytelnika i inne rozpowszechnione własności duchowe.

Stosunki w Ameryce, gdzie plutokratyzm i kapitalizm jaskrawiej niż gdziekolwiek się zaznacza, szczególniej sprzyjają pojawieniu się literatury o takim właśnie charakterze. Zbyt wielka zaciekłość, z jaką amerykanie uganiają się za dolarem, nie daje im czasu poświęcać się zbytnio uczeniu, dlatego też pomimo ułatwionych i znakomitych środków kształcenia, ogromna większość składa się z niedokształconych, którzy już nieco wyrośli z naiwności wyznaniowo-religijnych, a nie dorośli do naukowego opanowania zagadnień życiowych Tacy, gdy ich warunki życia stworzone przez kapitalizm wysmagają, oćwiczą i wtrącą w pewien stopień zwyrodnienia i dekadentyzmu, stają się zdolni figielki p. Morna przyjąć za dobrą monetę. Gdy tego rodzaju figielki w dodatku są ubocznie apologją kapitalizmu przez odwracanie od niego skalpela krytyki, to pozyskiwać aż mogą poklask nie tylko ofiar burżuazyjnej kultury, lecz i samej winowajczyni — burżuazji.

Zbyt daleko bym zaszedł, gdybym tu chciał na przykładzie książki p. Morna szczegółowo wyłuszczać odzwierciadlenie amerykańskiego charakteru i amerykańskich stosunków. Niech ta niezbędna dla orjentacji odrobina wystarczy.

W odpowiedzi na książkę p. Morna możnaby wyłuszczyć cały system filozofji wolny od gadulstwa i przelewania z pustego w próżne; byłby to jednak zbyt wielki zaszczyt tej książce zrobiony. Prestigitatorstwo p. Morna, który jak magik urzeczywistnia numer programu: „tu nic! tam nic! wszędzie pełno i wszędzie pusto!" myślących ludzi nie olśniewa i nie zdumiewa. Zapraszamy p. Morna tu do nas do Warszawy, by nam na przykładzie własnej osoby pokazał, jak się staje gienjalnym za pomocą „wiary w siebie", jak się leczy starcza skleroza za pomocą wmawiania w siebie młodości, jak się osiąga gienjalne potomstwo za pomocą filozoficznej zadumy, jak odzyskuje się szczęście, siły, optymistyczny światopogląd, nieśmiertelność za pomocą chcenia i odpowiedniego medytowania.

Gdy wtedy zdoła on wytrwać w optymistycznym światopoglądzie i w dobrym zdrowiu, nie bacząc, że warszawski złodziej kieszonkowy medytującego autora obierze z dolarów i zegarka, a tramwaj magistracki z lubością medytującemu autorowi zmiele kości, to przyznamy metodzie p. Morna zbawiania cierpiącej ludzkości wartość, a jego naukowym poglądom słuszność.

Alexy Kurcyusz.

LITERATURA i SZTUKA.

Robert Hichens: **Ogród Allaha**. Powieść. Przekład z angielskiego. Warszawa, 1910. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

Czytelnik nie zna prawdopodobnie jeszcze nazwiska Roberta Hichensa. Jeżeli tak jest, niech się zawstydzi. Autor jest przecież już pewnego rodzaju sławą i rosyjskie piśmiennictwo nowalji łakome już przyswaja sobie dzieło jego. To też wydawcy, chcąc umniejszyć nam wstydu, rozpoczęli odrazu od dzieł grubego kalibru, od dzieła fortecznego i obdarzyli nas olbrzymim tomem, zawierającym sześćset pięćdziesiąt stronic.

Czy w celu zjednania dla autora serc czytelników, czy też z zamiarem odstraszenia ich?

Autor w mniejszym lub większym stopniu modny (lub modnym czyniony) musi mieć jakąś specjalność, która go wyodrębnia z rzeszy współzawodników...

Jakąż jest specjalność R. Hichensa?

Sądząc z „Ogrodu Allaha", wywnioskowaćby należało, iż punkt ciężkości spoczywa w „akcji katolickiej", wyrażając się stylem p. Kosiakiewicza. Lecz, zdaje się, iż „katolicka akcja" jest tu cząstką sprawy rozleglejszej, którąby można określić, jak flirtowanie z tajemnicą, lub łechtanie pobudliwych w tym kierunku nerwów przeczuciami cudowności, nas otaczającej — w przyrodzie, w ludziach, w istotach ożywionych i nieożywionych. I właśnie: nie o „tajemnicę" tu chodzi, która jest ostatecznie rzeczą dość obojętną, rzeczą, w którą się nie wierzy, ale o łechtanie, o pewnego rodzaju zabawę i sport, podniecający wyczerpane nerwy... Ogród Allaha — to Sahara w barwnym języku Arabów. Rzecz prosta, że w ogrodzie tym czuć Allaha tchnienie, i autor każe nam temu wierzyć. Aparat olbrzymi. Cóż to się będzie mełło w tym młynie? Niejaka Domini Enfilden po niezbyt pogodnym trzydziestoletnim trwaniu w domu rodzicielskim, w atmosferze ciężkiej, mniejsza o to, czym wywołanej, w warunkach, w których cudze cierpienie, cudza tragiedja odbierały jej własne jej osobiste życie — otóż p. Domini Enfilden po rozwiązaniu ostatecznym wszelkich domowych tradiedji, zapragnęła odzyskać siebie w pustyni, zdala od ludzi jej świata, zdala od ech, któreby jej słać mogła przeszłość.

...Pomysł dobry. W pustyni spotyka mnicha — trapistę, który po dwudziestoletnim pobycie w klasztorze zbiegł stamtąd, zapragnął żyć... a że chroni się w pustyni, on, spragniony ruchu, słońca, radości, wzruszeń, to znowu rzecz naturalna. Bo przecież gna go lęk. On zbyt przywykł do milczenia, do samotności, by już był zdolny do użycia tych rzeczy nieznanych, do których pociągnęła go tęsknota, by umiał przezwyciężyć swój przestrach dziecinny wobec ludzi i świata, swą nieśmiałość i niezręczność, a nadewszystko by mógł wyzbyć się tłumionej trwogi przed mściwą prawicą Pana. I znowu pomysł bardzo dobry. Z pewnością w duszy człowieka gwałtownego, namiętnego rozewrzeć się musiała otchłań męk potępieńczych... Lecz w tym właśnie punkcie pomysł beznadziejnie się banalizuje. To. co się odbywa w duszy zbiegłego mnicha, zostało zawoalowane bardzo skutecznie. Widoczną jest rzeczą, że wspomniany proces, duchowy w zamierzeniu autora nie jest treścią główną jest tylko środkiem do wywołania jakiegoś innego efektu. I tak jest istotnie. Chodzi tu poprostu o wywołanie wrażenia, że *coś strasznego się stało...* Strasznego nie dla Androwskiego — tak się zowie występny mnich, dziwnie symboliczne nazwisko, od andronów— więc, czytelnik ma odczuwać dreszcz trwogi, iż stało się coś strasznego — coś, na co Bóg spogląda gniewnymi, mściwymi oczami. Każdy odruch Androwskiego mówi nam o ukrywanej tajemnicy, o niezwykłej jego, trwożnej, nieufnej wobec ludzi podejrzliwości... Coś jest, myśli sobie czytelnik. Wszystkich, zbliżających się do Androwskiego, obejmuje jakieś przerażenie, gwałtowny wstręt, odraza...

A zatym osobista tajemnica Androwskiego, występnego tylko wobec samego siebie, promieniuje tu na zewnątrz, i znamienne jest, że promieniuje w postaci grozy... Bozia się gniewa... I wszyscy na wyścigi usiłują przestrzec Domini przed Androwskim. Nawet egzotyczny hr. Anteoni, który się staje wreszcie przekonanym mahometaninem, nie stając się zgoła przez to renegatem ani we własnym sumieniu, ani wobec otaczających.

Tak tedy, „akcja katolicka” nie jest jedyną drogą, prowadzącą do królestwa ukrytych sił, władających światem. Gdy przestrogi nie pomogły i Domini, już jako p. Androwska, wyrusza w podróż poślubną w głąb pustyni, w ogrodzie Allaha przyroda wstrząsa się od grozy. W czasie ceremonji ślubnej spadł krucyfiks i roztrzaskał się... Bozia się gniewa... A trzeba przeczytać, jak się uroczyście to spowiada. Wróżbiarz w kupach piasku przerażające widzi rzeczy...

Strach!... Czy nie jest to klecenie niedołężnych bajek dla dzieci: tam ciemno... tam wowa połknie dzidzia... Tyle jest w tym szczerości, tyle powagi wobec zaświatowej tajemnicy i świętości, ile w obrazku derwiszów, jedzących szkło, wbijających sobie bretnal w oczy, w ciemię, i wesoło przy tej operacji podskakujących, by po wypoczynku znowu rozpocząć z powodzeniem tę samą zabawę; snać gałka oczna zrośnie się, jak galareta, wbite kołki wyskoczą z głowy, jak z korka i t. p.

I tyleż w tym wszystkim jest dobrej wiary, ile w opowieści o złym doktorze, co męczył zwierzęta, i w rok po śmierci stał się czarnym pudlem, i został umęczony przez przyjaciela zwierząt, który doskonale wiedział, jak niecną istotę ma w swej mocy... Spójrzmy w inną stronę... Hr. Anteoni i Domini bawią się w dobroczynność, rzucając pomiędzy zgromadzonych Arabów monety... „Arabowie rzucili się, jak psi ku kości, a ona chwilę wyczekiwała, śmiejąc się z całego serca”... Piękne, piękne.. Oto, czym nas karmią... Oto dla jego efektów każą nam brnąć przez kilkaset stron najniedołężniejszej elokabracji. W trosce o naszą kulturę umysłową i artystyczną, wydawcy pospieszyli zapoznać nas z dziełem tak głębokim, z autorem tak poważnym... Równa troska widnieje w stylu tłumacza, stylu, wartością swą zupełnie godnym dzieła. „Patrzała na niego bez litości, obserwując rozterkę jego twarzy.

Zdobywczy dział powstał w jej istocie przez to spojrzenie, jakie był rzucił ku niej”... „Mówił prawie niepomny”. Zdaje się jej, że w jego oczach widzi coś „jakby grozę, jakby niecność”.

„Był on mężczyzną w wysokim stopniu swego gatunku”, „spojrzawszy tedy z rodzajem surowego zarządzenia, ujrzała swego towarzysza podróży”. Zresztą, próżna praca — wybieranie perełek. Coraz to gdzieindziej jakiś klejnocik połyskuje, i tłumacz wciąż sam siebie prześcignąć usiłuje i dobry osiągnąć skutek.

A. Drogoszewski.

Śmierć Iwana Groźnego. Tragiedja hr. A. K. Tołstoja na scenie krakowskiej.

Teatr krakowski wznowił tradycje sceny Koźmiana, wystawiając niegraną od 1878 r. sztukę Tołstoja. Nazwalibyśmy ją raczej kroniką dramatyczną, bo sam fakt śmierci wielkiego despoty z przerażającym naturalizmem odtworzony przez Solskiego wcale tragicznym nie jest. Autor zaś z nadmierną niemal ścisłością historyczną obrazuje nam postać, dwór, rodzinę i otoczenie całe Iwana. Nie brak nawet głodnego ludu i policji, biorącej łapówki. Fabuły właściwej niema, węzła dramatycznego brakuje, a jednak sztuka dała dowody żywotności, skoro dziś, jak przed 32 laty, przepełnia widownię i staje się atrakcją dla wybrednej publiczności krakowskiej.

Najważniejszą bodaj tego przyczyną jest znakomita gra Solskiego, który, zebrawszy wawrzyny, jako Dymitr Samozwaniec, zapragnął grać analogiczną postać Samodzierżcy. Rola to istotnie popisowa. Grał ją ongiś Józef Rychter, a krytyka wliczała ją do najwspanialszych jego kreacji. Solski uwydatnia wszystkie właściwości skomplikowanej postaci cara, a grą fizjonomji dopełnia to, czego nie dopowiedział autor. Postać Iwana rysuje nam się tedy wpełni, nietylko jako okrutnika w obawie śmierci i sądu potężniejszego od siebie pana zastępów niebieskich i piekielnych, skłonnego chwilami do pokuty, ascezy, ale jako męża stanu, o całą głowę przerastającego otoczenie i całą współczesną Rosję. Wprawdzie polityka jego jest nawskroś rosyjską, a więc despotyzmem i samowolą, które podkopują własne dzieło, wygubiając doszczętnie dokoła wszystkich wybitniejszych, którzyby to dzieło prowadzić dalej mogli. Autor wybrał chwilę, w której, zabiwszy własnoręcznie starszego syna, Iwan dopełnił miary zbrodni i sam wreszcie nad sobą zastanawiać się zaczyna, kaja się i chce z tronu ustąpić. Jego elastycznej naturze wystarcza przecież wyraz uznania i zaufania ze strony bojarów, aby powróciła do dawnego zuchwalstwa, dawnej bezwzględności, okrócieństwa i zapatrzenia w siebie. Znów wierzy, że on, Iwan, nie może być pokonanym i oznajmia ludowi zwycięztwo, pomimo, że nadchodzą hiobowe wiadomości o porażce pod Pskowem. Przypomina to dzisiejsze rozporządzenia policyjne, które przyznać nie chcą, że panuje cholera, głód lub nieurodzaj w państwie carów.

Historycznym momentem autokratyzmu jest ustąpienie Inflant Stefanowi Batoremu, jak je przedstawia autor dobrowolne, aby tym upokorzeniem okupić zbawienie w przyszłym życiu Już tu nie Rosja to ja, ale Rosja dla mnie. Otoczenie cara to postacie drugorzędne, jakkolwiek wciąż na scenie. Nawet Borys Godunow, który już pierwsze kroki stawia, ku przyszłemu panowaniu, zarysowany jest blado i zupełnie drugoplanowy. Psychologia jednostek się nie uwydatnia, natomiast dobrze narysowana jest dusza rosyjskiej zbiorowości. Otoczenie całe dzikie, głupie, służalcze,

o typie niewolniczym z jego zawiścią wśród równych, pochlebstwem wobec pana, nieufnością wzajemną i bałwochwalczym przed potęgą tronu zachowaniem.

Na tle tego ponurego i smutnego dworu, momentem jaśniejszym jest występ posła Haraburdy, którego Stefan Batory wysłał jako parlamentarza. Jaskrawo zarysowuje się ówczesna wyższość polskiej kultury nad rosyjską, piękno polskiego stroju, swoboda ruchów i fantazja szlachecka. Zbytecznym chyba dodawać, że huczne oklaski towarzyszyły ukazaniu się Sobiesława, który i strój polski nosić umie i znakomicie małą rolkę wycieniował. Jest on jedynym z pośród artystów, którzy sztukę już w 1878 r. grali.

W końcu trudno nie wspomnieć o powinowactwie między Dymitrem Samozwańcem Nowaczyńskiego i sztuką Tołstoja. Porównanie nasuwa się samo przez się. Nowaczyński potrafił wprowadzić więcej życia i lekkości do swego utworu, ale Tołstoj utorował mu drogę i wybrał postać główną, wydatniejszą i bardziej nadającą się na typ dramatyczny.

zdg.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* W artykule p. t. „Andrzej Niemojewski", zamieszczonym w Nr. 24 *Izraelity* p. J. Wasercug, pisząc o stosunkach literackich i wydawniczych p. Niemojewskiego z żydami, zajął stanowisko niezgodne z zasadami demokratycznymi i postępowymi. Stanowisko to z naszego punktu widzenia zasługuje na bezwarunkowe potępienie.

W tej sprawie otrzymaliśmy list p. J. Wasercuga, który przytaczamy na właściwym miejscu.

* Pogląd nasz na „antysemityzm postępowy" wyłuszczyliśmy ogólnie w N-rze ostatnim, zaś obszernie uzasadniamy go teraz na miejscu naczelnym. W tej sprawie zabrał z kolei głos organ Al. Świętochowskiego.

Kultura Polska poprzedza wywody swoje kilku trafnymi uwagami na temat *zdziczenia*, jakie daje się zauważyć w dzisiejszych metodach polemicznych.

„Wszędzie... a więc również w społeczeństwach najkulturalniejszych płyną potoki polemicznego błota, ale są to wszakże strumyczki wobec szerokiej rzeki sporów poważnych, przedmiotowych...

Tymczasem u nas przeważnie ścierają się z sobą drwiny, przygryzki, wymysły i oskarżenia. Zwłaszcza w prasie panuje ton sarkazmu i zniewagi. Jest to niewątpliwie wynik naszej niedojrzałości umysłowej i nadmiernego zdenerwowania w szarpiących i dręczących warunkach życia; ale jest to także wytwór miejscowego fanatyzmu. Najohydniejsze zarzuty, najordynarniejsze wyzwiska, najbardziej osobiste napaści wychodzą głównie z obu przeciwległych krańców opinji publicznej - tych, które pomimo odmiennych stanowisk i kierunków godzą się w nietolerancji, ciasnocie widnokręgów myślowych, skostniałym sekciarstwie, dogmatyzacji wyznawanych zasad, upodobań do teroru i władzy. Zarówno w pismach klerykalno-wstecznych, jak radykalno-rewolucyjnych panuje ten sam duch prokuratorski, to samo podszywanie każdego niesympatycznego im czynu aktem oskarżenia, to samo stawianie pręgierzów i szubienic, a nadewszystko to samo redukowanie każdej sprawy do przewinień osobistych. Kulka śniegu, stoczywszy się z wierzchołka góry, spada często na jej spód ogromną bryłą. Więc też zdarza się nieraz, że zaczepka osobista, wywołując odwet, zamienia się w dalszym rozwoju na płazowanie językowe i wciąga w awanturę polemiczną ludzi, którzy nie czują żadnej chęci do takich rozpraw.

Dziś nerwy smaku czytelników tak się znieczuliły tą cuchnącą papryką, że pesymista, który używa przyzwoitych wyrazów i nie zdziera osobistego skalpu z głowy przeciwnika, uważany jest za bezdusznego tancerza w staromodnym gawocie. Przyznać jednak trzeba, że bawiąc się tymi turniejami, nikt nie przywiązuje żadnego znaczenia do używanej w nich broni i doskonale rozumie, że nazwany denuncjantem lub szpiegiem nie jest wcale denuncjantem lub szpiegiem, lecz mniej lub więcej uczciwym człowiekiem — że jest to tylko „sposób mówienia".

Z tych bijatyk, boksowań i obryzgiwań słownych wyłonił się objaw nowy: część prasy postępowej nadcięła sukno przymierza z żydami. Za nożyce posłużył zarzut, że oni wnoszą do naszego życia pierwiastki zwyrodnienia i rozkładu, że swój liberalizm i radykalizm ograniczają do krytyki i znieważania skamieniałości i uwsteczeń kultury polskiej, osłaniając starannie barbarzyństwo własne, że urągają najświętszym przedmiotom jej czci, że ogłaszają jej bankructwo i śmierć, pragnąc na jej gruzach zbudować żydowsko-kosmopolityczną świątynię nowego społeczeństwa i nowego kultu. Zarzut ten nie jest dotychczas wnioskiem spokojnej i rozważnej analizy, lecz hasłem bojowym i dlatego trudno ocenić jego zasadność w całej rozciągłości. To tylko pewna, że mu dostarczyły podstawy dzikie wykrzyki nieprzejednańców, którzy swój wszechzbawczy mesjanizm pojmują jako odwagę urągania niedoli i wkręcania sekciarskich świderków w rany chorego, nieszczęśliwego i bezwładnego narodu. Że tym niezaszczytnym junactwem zwiększają dla siebie i swego sztandaru tylko koło odrazy i odporu, że ich na długo przygniecie, a może zupełnie zgniecie rozjątrzona ciągłym drażnieniem moc samozachowawczości społeczeństwa - tego nie widzą i nie rozumieją. Bo wogóle widzą i rozumieją mało, patrząc na świat przez szparę lub w końskich okularach fanatyzmu. Ale gdyby nawet śród grabarzów „trupa" Polski byli żydzi, to nie należy wydartymi z ich rąk łopatami rozbijać głów tym ich szczepowym krewniakom, którzy z miłością odczuwają jej niedolę, z czcią patrzą na jej wysiłki, a z wiarą w jej żywotność, zwłaszcza, że jest ich wielu.

* Z powodu artykułu p. M. Biernackiego w Nr. 205 *Kurjera lubelskiego*, piętnującego miejscowe „Bagienko", powstała charakterystyczna dla stosunków naszych burza. Autor artykułu stwierdził na wstępie, że „łapownictwo jest rodzajem konstytucji w Rosji, gdyż ono jest jedyną gwarancją osobistą pozostawioną osobnikowi przeciwko samowoli biurokratycznej". Tym się tłumaczy względny spokój, z jakim ludność znosi ten „kontrakt społeczny". Kary i rewizje zdaniem d-ra M. Biernackiego nie uwolnią Rosji od tej choroby, na którą jedynym lekarstwem byłoby „podniesienie pensji wszystkim niższym urzędnikom", „wychowanie ich na ludzi o wyższym poziomie moralnym" a nakoniec „przekształcenie całego państwa na państwo oparte na prawie".

Rewizje senatorskie nie sprawiły na ogół żadnej niespodzianki, rozwiały tylko nasze złudzenie, że „my Polacy jesteśmy wolni od tej zarazy". Okazało się bowiem, że ci z nich, którzy są „wciągnięci w matnię rządową" nie są lepsi niż Rosjanie, że „wyziewy bagna zrobiły swoje i pozatruwały nam nasze dusze".

Nie to jest najgorsze, że trafiają się zdemoralizowane jednostki, lecz że ogół zżył się z tym i nie reaguje już wcale na to zjawisko moralne, czego dowodem jest zapraszanie takich jednostek na stanowiska honorowe w naszych instytucjach.

Tyle, nie więcej, powiedział lubelski „wróg ludu", stając na straży zdrowia moralnego w łonie najbliższego sobie środowiska. Dotknął on — pisze słusznie *Kurjer Poranny* — nie lokalnej, lecz powszechnej bolączki, z którą prędzej czy później koniecznie trzeba się będzie załatwić, jeżeli nie chcemy wejść w fazę powolnego moralnego rozkładu. Chwila poważnego zmierzenia się z tym zagadnieniem jest może wcale niedaleka. Oczekiwany od lat kilku samorząd może w końcu zamienić swą papierową egzystencję na realną i stanie się wprost naszym własnym, palącym, wysoce odpowiedzialnym zada-

niem uzdrowienia gospodarki naszych miast i miasteczek. Cóż będzie warta choćby najlepsza ustawa samorządowa, jeśli do jej wykonania nie będziemy mieli ludzi sumiennych i uczciwych?

Dziś znajdujemy łatwe wyniki, bo nie możemy złemu zapobiegać, czyż jednak nie obciążymy sumienia i nie splamimy naszego honoru, jeśli mogąc nie zechcemy uchronić funduszów publicznych od rozgrabienia, a zatym wszystkich opodatkowanych od krzyczącej krzywdy?

Dr. Biernacki spełnił uczciwy czyn obywatelski, gdy o tym obowiązku moralnym przypomniał.

Został jednakże za to należycie ukarany. Uderzenie w stół obudziło nożyce. Towarzystwo Lekarzy Guberni Lubelskiej (dr. B. nie był jego członkiem) uznało w artykule „Bagienko", w którym nie było wymienione żadne nazwisko, żadna miejscowość, żadna instytucja, wyrządzoną sobie obrazę, za którą skazało d-ra Biernackiego na bojkot towarzyski i koleżeński i decyzję tę ogłosiło we wszystkich gazetach miejscowych.

Fakt mówi sam za siebie.

Pan Biernacki, chlubnie znany ze swej uczciwej i ofiarnej działalności społecznej, tylko utrwalić i wzmocnić może sympatję i szacunek tych ludzi dobrej wiary, przez odważne i niezachwiane wyznawanie swych przekonań bez względu na napaści i obelgi „zwartej większości", która pogróżkami i terorem usiłuje mu usta zakneblować.

Najsmutniejszą stroną tej sprawy jest bolesne odkrycie „bagienka" głębszego i wstrętniejszego, niż mogliby przypuszczać najbardziej rozgoryczeni pesymiści. Zaraza musiała się wśród nas — niestety — już bardzo rozpanoszyć, „kiedy zwarta większość może do tego stopnia być bezwstydną, że chce rozkwit społeczeństwa opierać na bagnie kłamstwa i obłudy".

* „Antysemityzm postępowy" jest bezsprzecznie „gwoździem" obecnego sezonu. Rozkołysał szerokie kręgi gnuśnej zazwyczaj opinji, zaalarmował obozy, uruchomił wszystkich matadorów...

Naogół „antysemici postępowi" zadowolili się wydarciem łopat z rąk bandy niewczesnych „grabarzy", czym zawiedli rachuby różnych niepowołanych sprzymierzeńców, którzy wyczekiwali niecierpliwie hasła jakiegoś ogólnego moralnego „programu"...

Gazeta Warszawska zajęła tutaj stanowisko *à part*, zdobywając się na zdanie lapidarne, które rzuca jaskrawszy snop światła na obóz „demokracji narodowej", niżli by to mógł uczynić najpotężniejszy reflektor.

„*Postęp polski*—powiada dosłownie organ p. Dmowskiego — *przestanie być postępem, gdy opierać się będzie na poszanowaniu tradycji narodowych*, gdy służyć zechce polskim tylko interesom narodowym".

„Wytrawni" politycy tego autoramentu nie pojmują zupełnie, że właśnie istotą postępu jest poszanowanie i ciągłość tradycji, w odróżnieniu od prądów skrajnych, przewrotowych, które nie uznają tej podstawowej zasady ewolucji. *Le progrès* — powiedział kiedyś Marc Sangnier, wódz francuskiej demokracji chrześcijańskiej — *le progrès c'est la tradition en marche*... Miał słuszność— i za to potępił go papież. Nasi warszawscy papieże nie dają się ubiec Watykanowi pod żadnym względem, osobliwie pod względem t. zw. *lapsusów*.

Lapsus calami Gazety Warszawskiej wyzyskał zręcznie *Goniec*, dając „odczuć cały smak obskurantyzmu, którym przesycony jest artykuł *Gazety*.

Jej prosta i kategoryczna synteza kulturalna w stylu p. Dulskiej nie liczy się z takimi drobiazgami, jak dzieje narodów cywilizowanych wogóle i dzieje naszego narodu w szczególności".

Bowiem — dowodzi organ *secesji* —

Życie narodowe nie może polegać tylko na pielęgnowaniu tradycji, gdyż naród nie jest starym pergaminem, ani pomnikiem, lecz tworem żywym, który w każdym okresie swego żywota dziejowego spotyka się z nowymi zadaniami i z nowymi potrzebami. Pomyślnie dokonane przekształcenia społeczno-polityczne są zazwyczaj źródłem nowych sił dla całego narodu, który jest po nich niejako odświeżony, odnowiony i czuje przyrost nowej energji, jak również nowej wiary w swą przyszłość. Jest zaś nieuniknioną koniecznością, że przekształcenia te każdorazowo przybierać muszą formę walki z grupami konserwatywnymi oraz z ustalonymi normami, zwyczajami i nałogami, że spotykają na swej drodze inercję społeczeństwa oraz część jego tradycji. W pojmowaniu współczesnych musi to być walka dążeń postępowych z konserwatyzmem lub poprostu z leniwą bezwładnością, głuchą na głos wymagań życia i zbiorowego popędu samozachowawczego.

Podobny charakter miała znana reforma 3-go maja. Przeciwnikami jej byli właśnie zaśiepieni obrońcy tradycji, którzy obrzucali reformatorów oskarżeniami, że są pod wpływem teorji cudzoziemskich, że depcą tradycję narodową itp. Co więcej, zarzuty te nietylko przetrwały okres rozbiorów, ale powtarzały się znacznie później i utrzymały się niemal do ostatnich czasów. W kilkadziesiąt lat po upadku rzeczy pospolitej jeszcze ukazywały się książki *quasi* historyczne oraz pamflety, w których restauratorzy 3 go maja figurują wprost jako „farmazoni" z duszą cudzoziemską lub conajmniej jako ludzie, obałamuceni doktrynami encyklopedystów francuskich.

Jakiż sąd wydała potomność? Oskarżeni o deptanie tradycji patryjoci sejmu wielkiego rzeczywiście wzbogacili skarbnicę tradycji narodowych, dodając do nich jedną z najcenniejszych pereł. Tym pozostała konstytucja 3-go maja w pamięci późniejszych pokoleń.

I ona wszakże nie mogła stawać pomiędzy wzrokiem tych pokoleń a życiem, które w końcu XVIII i w początkach następnego wieku posunęło się o parę dużych kroków. W ubiegłym stuleciu stałą troską lepszych umysłów w Polsce staje się sprawa oświaty ludowej i szerokiej demokratyzacji, która przez obudzenie drzemiących w masach sił zmieniłaby moralną fizjonomję narodu polskiego i stała się dla niego źródłem odrodzenia i mocy.

To wielkie zadanie do dziś dnia nie zostało rozwiązane. Ale nawet częściowe próby, podejmowane różnymi czasy przez małe grupy demokratycznej inteligiencji, świadczą, że tylko na tej drodze możliwe jest ożywienie uczuć i myśli narodowych w naszych warstwach średnich. Momenty wzbierania prądów patryjotycznych stale zbiegają się w wieku ubiegłym ze wzrostem dążeń demokratycznych w tych warstwach, w okresach zaś, w których dążenia te słabną, uwydatnia się też w całej grozie jałowość, niemoc, a nawet umysłowa ociężałość wśród średnich i wyższych warstw naszego społeczeństwa. Są to okresy naszej wewnętrznej społecznej reakcji.

To są wszystko, jak widzimy, rzeczy *elementarne*, które jednak, niestety, nie wyszły dotąd poza krąg wpływu prasy postępowej. To też jakkolwiek nie mamy żadnych złudzeń co do trwałości i mocy „postępowego kursu" *Gońca*, jednak z uznaniem podkreślamy powyższy ustęp, rzucony w sfery, do których głos nasz nie dochodzi.

KRONIKA.

DO P. P. CZŁONKÓW STOWARZYSZENIA SPOŻYWCZEGO PRACOWNIKÓW DR. ŻEL. W. W.

W poczuciu obowiązków obywatelskich, silnie przekonani o doniosłem znaczeniu ruchu współdzielczego, przyjęliśmy mandaty, dane nam przez 38-e Zgromadzenie Ogólne z tym przekonaniem, że ogół Członków, w myśl wyrażonego nam zaufania, ocenił należycie wytworzone ostatniemi czasy położenie i że posiada dosyć energji i środków, aby stanąć obronnie za Stowarzyszeniem, utrzymać go i racjonalny rozwój mu zapewnić.

Wierząc niezłomnie, że tylko istotne współdziałanie wszystkich Członków może zapewnić pracy naszej rezulta-

ty pomyślne, a Stowarzyszeni dobrą i trwałą przyszłość, — pragniemy, aby Członkowie czynnie zainteresowali się sprawami Stowarzyszenia i w tym celu prosimy:

1). O jak najczęstsze odwiedzanie zakładów Stowarzyszenia, celem skontrolowania porządku i obsługi, czego z natury rzeczy nie zawsze jest w możności dokonać Zarząd.

2). O zawiadamianie Zarządu o wszelkich spostrzeżonych niedokładnościach, nastręczających się uwagach i pożądanych ulepszeniach — bądź to osobiście na posiedzeniach Zarządu, na które wstęp wolny mają wszyscy Członkowie Stowarzyszenia (we Wtorki od g. 6 wieczorem), bądź też przez wpisanie reklamacji lub żądania do przeznaczonej na to książki w kantorze Stowarzyszenia, bądź też wreszcie listownie pod adresem Zarządu. Warszawa. Nowogrodzka Nr. 42.

Jednocześnie zawiadamiamy:

1). że wypłata dywidendy, uchwalonej przez 35-e Zgromadzenie Ogólne, rozpocznie się w kantorze Stowarzyszenia w dniu 1 Października r. b. i trwać będzie w myśl ustawy do 1 Kwietnia 1911, przyczem nieodebrana dywidenda po upływie tego terminu przelaną zostanie do kapitału zapasowego.

2). że od dnia 1-go Października r. b. rozpoczęte zostanie wydanie kart kredytowych, w myśl uchwały 35-go Zgromadzenia Ogólnego.

3). że Kantor Zarządu Stowarzyszenia jest otwarty codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od 9 do 3 i od 6-ej do 8-ej wieczorem.

i wreszcie 4) że na posiedzeniu Zarządu w dniu 14 b. m. ustanowiono następujący podział czynności między członkami Zarządu.

Przewodniczącym został p. Antoni Mędrecki.

Skarbnikiem „ p. Ludwik Przyjemski.

Zarząd buchalterją objął p. Tadeusz Kuhnke, zostając zastępcą Przewodniczącego.

Zarząd Sklepami i składem węgla objął p. Józef Kąsinowski.

i Zarząd piekarnią oraz pracowniami objął p. Tadeusz Gruszczyński.

Zarząd.

Z SĄDU. W d. 3 b. m. Warszawska Izba Sądowa rozpatrywała w instancji apelacyjnej sprawę p. Aleksego Kurcjusza oraz p. Pauliny Sieroszewskiej, oskarżonych o „bluźnierstwo" na podstawie denuncjacji Arcybiskupa Wincentego Popiela, skierowanej do Prokuratora Sądu Okręgowego.

Przed dwoma laty oskarżeni wyrokiem sądu pierwszej instancji zostali uniewinnieni. Obecnie Izba Sądowa wyrok niższej instancji zatwierdziła.

ZGON. D. 4 b. m. zmarł w Warszawie po dłuższym cierpieniu Roman Plenkiewicz, ur. w Skorczowie pod Skalbmierzem gub. Kieleckiej w r. 1833.

Ze zgonem Plenkiewicza schodzi do grobu jeden z najstarszych pedagogów polskich, miłośnik języka i literatury ojczystej.

Do celniejszych prac Plenkiewicza należą: „Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła", „Kształcenie młodzieży", „Uwagi nad dziełami do wykładu języka polskiego", „Monografja szkoły handlowej" i wiele artykułów krytycznych z dziedziny literatury ojczystej i obcej, zwłaszcza życiorysów koryfeuszów nauki i piśmiennictwa polskiego.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ponieważ przypisano mi poglądy, jakich sam musiałbym się wstydzić, przeto oświadczam: gdybym któremukolwiek z publicystów polskich uczynił *zarzut* z tego, że korzystał z usług żydowskich, obraziłbym samego siebie; gdybym zaś za wyświadczone przez żydów usługi żądał dozgonnej wdzięczności i zamilczania o obskurantyzmie i o wszystkich wadach moich współplemieńców, obraziłbym nietylko siebie, ale i cały ogół żydowski. Motywy moich zarzutów przeciwko p. Niemojewskiemu były całkiem innej natury.

Walkę z obskurantyzmem i nacjonalizmem żydowskim uważam za zbawienną dla naszego społeczeństwa i przypisywanie mi poglądów przeczących temu mojemu przekonaniu, może być tylko skutkiem nieporozumienia, lub też mego nie dość jasnego wypowiedzenia się w danym wypadku

Józef Wasercug.

Książki nadesłane do Redakcji:

— Kazimierz Twardowski: „O metodzie psychologji". Przyczynek do metodologji porównawczej badań naukowych. Odczyt wygłoszony na pierwszym ogólnym zgromadzeniu Zjazdu neurologów, psychjatrów i psychologów polskich w Warszawie w 1909 r. Warszawa 1910. Skład Główny: E. Wende i S-ka. Str. 18.

„Bibljoteka Warszawska". Zeszyt 2, tom III sierpień 1910. Opoka, przez Kazimierza Zdziechowskiego. Pamiętnik Deotymy. Polityka Austrji względem Polaków w końcu XVIII wieku, — przez Marjana Kukiela. „Sen srebrny Salomei" — p. Stanisława Turowskiego. Emilja Plater, przez Bolesława Limanowskiego. Podróż po Guyanie Angielskiej — przez Witolda Szyszłę. Piśmiennictwo. Sprawozdania z książek. Kronika miesięczna. Wspomnienia pozgonne. Wiadomości naukowe, literackie i bibljograficzne.

— Trzeci tegoroczny zeszyt „Przeglądu Filozoficznego" zawiera treść następującą: d-ra Bronisława Biegeleisena „O twórczości w naukach ścisłych", dra Adama Zieleńczyka „Psychologja w etyce", d-ra Władysława Biegańskiego „Prewidyzm i pragmatyzm", d-ra Adama Stögbauera „Efordtena teorja sądu i pojęcia" dalej sprawozdania z prac B. Bornsteina, W. Biegańskiego, W. M. Kozłowskiego, d-ra K. F. Wize, W. Ostwalda, S. Günthera, M. Zielewiczówny i F. C S. Schillera, autoreferaty J. Ciembroniewicza, A. Szycówny, d-ra W. Tatarkiewicza i d-ra M. Sobeskiego, w końcu sprawozdanie z posiedzenia polskiego Tow. filozoficznego.

— Stanisław Brzozowski: „Idee" wstęp do filozofji dojrzałości dziejowej. Lwów 1910 nakładem księgarni B. Połonieckiego str. 504.

— Henryk Mościcki: „Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi zeszyt I" Wilno 1910 nakładem „Kurjera Litewskiego, str. 32.

— Jan Adolf Hertz: „U źródła cnót", komedja w 4 aktach, str. 82 in 16-o Warszawa 1910. Wydawnictwo „Scena i Sztuka". Cena kop. 60.

— Wincenty Lutosławski: „Ludzkość odrodzona", wizje przyszłości, str. 276 Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa 1910. Cena r. 1 kop. 60.

— Wacław Mutermilch: Zagadnienia z dziedziny ewolucjonizmu I. „Krytyka teorji doboru naturalnego", str. 40 Warszawa 1910. Skład główny w księgarni E. Wende.

— Dr. F. W. Foerster: „Studenci wobec katolicyzmu" bibljoteka „Prądu" nr. 2 Warszawa 1910 str. 47. Cena kop. 30.

— I. Wł. Dawid: „Inteligiencja, Wola i Zdolność do Pracy", z rysunkami w tekście i na tablicy, str. 590. Warszawa. Wydawnictwo „Społeczeństwo" 1911.

— Dr. L. Kubata „Szkice historyczne". Serja III-cia wyd. Gebethnera i Wolffa. Cena rb. 2,40.

— Leonidas Andrejew tłum. B. Podlewski: „Gubernator", „Chrześcjanie" „Kłamstwo", wyd. Gebethnera i Wolffa. Cena 80 kop.

— Jadwiga Marcinkowska: „Zwycięstwo", wyd. Gebethnera i Walffa. Cena rb. 1 20.

— Franciszek Goeschke przeł. St. Schönfeld „Ogród Wiejski", wyd. Gebethnera i Wolffa. Cena 60 kop.

— Jordan (Juljan Wieniawski) „Z Teki Marymontczyka", wyd. Gebethnera i Wolffa. Cena rb. 1.

— Wł. St. Reymont: „Marzyciel", wyd. Gebethnera i Wolffa. Cena rb. 1,20.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.